Z zawadzkiego pod Walencję

22 czerwca 2017 r. Miejska Biblioteka Publiczna im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach gościła wyjątkowego człowieka: wybitnego polskiego pisarza, członka Związku Literatów Polskich, byłego pracownika BBC i Radia Wolna Europa, Honorowego Obywatela Miasta Tarnowskie Góry – Piotra Guzego. Na spotkanie ze znakomitym Gościem przybyły tłumy czytelników; nie zabrakło przedstawicieli władz miasta, instytucji kultury, prasy, a także najbliższej rodziny, nadal mieszkającej w Tarnowskich Górach.



Książki Piotra Guzego, fot. Pola Vesper.

Florian Śmieja

W zawadzkiem w powiecie opolskim urodził się Piotr Guzy, syn powstańca śląskiego Juliusza. Na skutek podziału Górnego Śląska, po plebiscycie, jego rodzina schroniła się w przypadających Polsce Tarnowskich Górach. Po szkole powszechnej zapisał się do gimnazjum i liceum im. księcia Jana Opolskiego, dziś niepotrzebnie przemianowanego na Stanisława Staszica. Wojna wybuchła na rok przed maturą, tak że młody alumn z formacją przysposobienia wojskowego pomaszerował na

wschód, by w Rumunii skończyć w internowaniu. Stamtąd zbiegł do Francji do wojska polskiego, a następnie do Wielkiej Brytanii. Z I Dywizją gen. Stanisława Maczka wziął udział w inwazji Europy, a po zwolnieniu z wojska, na uniwersytecie londyńskim zaczął studia ekonomiczne. Nie skończywszy ich wrócił z angielską żoną i synem do Polski w 1949 roku. Magisterium z ekonomii uzyskał w Poznaniu i przez pewien czas pracował w „Tygodniku Zachodnim".

Nękany i inwigilowany przez bezpiekę przez Berlin Wschodni uciekł z powrotem do Anglii w 1957. Zaczął pracować w BBC a potem w Wolnej Europie w Monachium.



„Krótki żywot bohatera pozytywnego”, fot. Pola Vesper.

Kiedy w 1966 opublikował „Krótki żywot bohatera pozytywnego” w paryskiej „Kulturze” powitał go entuzjastycznie Gustaw Herling-Grudziński słowami

> Jest to jedna z najwybitniejszych książek polskich, jakie się

> ukazały ostatnio w kraju i na emigracji. Witam w panu nowego pisarza o wielkim talencie.

A Wacław Grubiński wtórował w Londynie:

> Niepospolity talent literacki Piotra Guzego widzę w tym, że umiał w słowach prostych, prostackich, umyślnie ordynarnych …wszczepić żywy puls szczutego człowieka, jego strach, jego bunt i jego rozpacz.

Po przejściu na emeryturę Guzy osiadł w Hiszpanii pod Walencją. Odwiedził Śląsk, a Tarnowskie Góry nadały mu honorowe obywatelstwo. Pisarz tak to skwitował:

> Tarnowskie Góry uczyniły mnie tym, kim teraz jestem, były zaczynem tego, czym później zostałem, w najbardziej istotny sposób dały mi miejsce startu do mojej przyszłej pisarskiej drogi.

Zaczął życie literackie w fatalnym okresie. Ostre dyrektywy partii podporządkowały sobie większość pisarzy polskich. Guzy myślał, że pisząc popularne dreszczowce uniknie kontroli władz. Napisał książkę o tzw. sprawie Bergu. Przyjęło ją do druku

Ministerstwo Obrony Narodowej. Zanim się ukazała, do Poznania przyjechał Kazimierz Koźniewski i w hotelu „Bazar” razem z autorem sprawdzał strona po stronie cały tekst, by był politycznie poprawny. Kiedy Guzy protestował, usłyszał reprymendę:

> Proszę pana, my Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam.

Od literatów owego okresu wyróżnia Guzego fakt przyznania się do wstydu:

> To była wredna książka. Pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelnika utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, która w podstępny sposób mówiła, że inaczej już nie będzie, nie może być i z tym się należy pogodzić.

Jego twórczość poza Polską była próbą oczyszczenia. W „Zwidach na wysokościach” wyśmiał kult Stalina wśród pisarzy, którzy *przed siedzącym tam na wysokościach największym zbrodniarzem wszystkich czasów* wyciągają błagalnie swoje manuskrypty.

Macki polskiej bezpieki sięgały aż do Anglii i w „Requiem dla pani Tosi”, każą zaszczutej kobiecie popełnić samobójstwo.

Mimo, że przed wojną także uczęszczałem do tego samego gimnazjum co Guzy, trzy lata różnicy wieku sprawiły, że nie znaliśmy się. Na domiar złego, w 1937 roku byliśmy na tej samej wycieczce do Wilna i Pińska. Stoimy na wspólnym zdjęciu pod Ostrą Bramą w Wilnie. Pamiętamy te same wydarzenia, jak np jezioro Horodyszcze koło Pińska. Spotkaliśmy się dopiero w 2005 roku w Toronto, dwaj Opolanie gnani po świecie. Dzięki poczcie, a szczególnie internetowi poznaliśmy się bliżej i zainteresowali własną twórczością literacką.

Miałem wielką satysfakcję, kiedy Guzy wybrał się do Polski i w Tarnowskich Górach w 1999 miał swój wieczór autorski w historycznej sali nad restauracją Sedlaczka. Impreza była bardzo udana, publiczność dopisała, pojawiła się telewizja z Katowic, wyszły reportaże.



Piotr Guzy podczas spotkania autorskiego w Tarnowskich Górach, w czerwcu 2017 ,. fot. Pola Vesper.

Gratulowałem Guzemu sukcesu i zachęcałem do ściślejszych kontaktów z czytelnikami, ale on skromnie zasłaniał się zbyt małym dorobkiem pisarskim składającym się z czterech powieści i kilku opowiadań. Ponieważ „Krótki życiorys bohatera

pozytywnego” i „Stan wyjątkowy” ukazały się u Giedroycia w Paryżu i tylko pojedyńcze egzemplarze dotarły do Polski, a „Requiem dla pani Tosi” w Londynie, jedynie „Zwidy” wyszły w Polsce w 1994 roku w niskim nakładzie, faktycznie więc w Polsce Guzy pozostaje autorem nieznanym.

Zamiast domagać się ich publikacji, Guzy tłumaczy, że żaden wydawca się nie znajdzie, bo nikogo już sprawy w nich poruszane nie interesują, jako że mówią o doświadczeniach innych ludzi, którzy przeszli przez gehennę i też nie chcą już o niej czytać.

Ale można na tę sytuację spojrzeć inaczej. Minęło już dużo lat od powrotu literatury emigracji niepodległościowej do ojczyzny. Najwięksi doczekali się triumfalnego ingresu, ale o wielu innych wygodnie zapomniano. Czyżby poloniści i krytycy nie mieli obowiązku badania całej literackiej podaży i rzetelnego oceniania jej? Na jednych jest więc przyzwolenie i aplauz, innych się ignoruje czy wręcz przemilcza. Na bezstronnego krytyka nie mogą liczyć. Jak to się dzieje, że nie pojawia się wcale nazwisko Piotra Guzego, że w bibliotekach nie ma jego książek, nikt nie wydaje jego prozy? Sądzę, że region tak bogaty jak Śląsk, do którego ciągną ludzie z całej Polski, powinnno stać na zafundowanie swoim pisarzom, wydawnictwa Biblioteka Autorów Śląskich, by mogły się w nim ukazywać książki Guzego, a także Pawła Łyska z Istebnej i innych pisarzy, nie mogące

wrócić z obczyzny po tylu latach. To wstyd za śląskich polonistów, redaktorów, wydawców, krytyków i bibliotekarzy.

A tymczasem nasz ziomek czeka i pisze. Sytuacja polityczna i społeczna ojczyzny nim wstrząsnęła .

> Ja myślę, że trzeba będzie przeczekać jedno pokolenie, cała ta scheda po komuniźmie musi zniknąć, musi umrzeć, do polityki muszą wejść nowi ludzie, jeszcze nie znarowieni.



Piotr Guzy wraz z Marceliną Janisz, która napisała doktorat o

jego twórczości i wygłosiła referat podczas spotkania w Tarnowskich Górach, w czerwcu 2017 r.

Biada nad losem języka polskiego, który się zmienia, by nadążyć za degrengoladą społeczeństwa. Dziwuje się nad znieczulaniem sumienia, kiedy mówi się o dyrektorach i wojewodach, którzy „wyprowadzają” pieniądze z przedsiębiorstw, więc kradną, robią „przekręty”. Nie ma nikogo, ktoby nazwał zło złem, tzw. elity są na zastraszająco niskim poziomie moralnym. Nie bardzo widzi drogi wyjścia, bo państwo zostało tak zbudowane, że zostawiło miejsce na korupcję.

Nazywa siebie jednak „niechętnym optymistą”.

I ten optymizm sprawił, że doczekał miłej niespodzianki. W Opolu udało mu się samemu wydać cztery ważne powieści i tom opowiadań. A skończywszy 95 lat w czerwcu 2017 roku odważył się z Hiszpanii polecieć do Polski. Tam był w Tarnowskich Górach entuzjastycznie przyjmowany i w bibliotece miejskiej wysłuchał wykładu dr Marceliny Janisz, autorki jemu poświęconej pracy doktorskiej, a potem dyskusję poprowadził poeta Andrzej Kanclerz.

O swojej wyprawie pisał optymistycznie:

> Mam nadzieję, że po tym wypadzie w moje ojczyste strony, będę miał niczym nie zakłócony spokój i będę mógł się zabrać do pisania.

Galeria

Spotkanie z Piotrem Guzym w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach, 22 czerwca 2017 r.



Od lewej: Agnieszka Rudawska – Dyrektor MBP, Piotr Guzy i prowadzący Andrzej Kanclerz, fot. Pola Vesper.



Od lewej: Piotr Guzy, prowadzący poeta Andrzej Kanclerz oraz Marcelina Janisz.









Fotografie, autorstwa Poli Vesper, poch0dzą ze strony Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach.

„Faust” Gounoda w Operze Wrocławskiej: Brawurowy finał artystycznego sezonu.

Korespondencja z Polski

Barbara Lekarczyk-Cisek

Najnowsze widowisko Opery Wrocławskiej: „Faust” Charlesa Gounoda wieńczy sezon artystyczny zespołu pod nową dyrekcją Marcina Nałęcza-Niesiołowskiego w

prawdziwie wielkim stylu.



Eric Fennell (Faust, tenor), fot. Opera Wrocławska.

Tym razem dyrektor zaprosił do współpracy **Beatę Redo-Dobber** – artystkę wszechstronną, która przygotowała znakomity spektakl operowy, będąc jego reżyserką, jak też scenografem, autorką projekcji multimedialnych, kostiumów i choreografii… A jakby tego było mało – również osobą prowadzącą chóry. Jest to zatem spektakl w pełnym tego słowa znaczeniu autorski, spójny, o wyrazistym przesłaniu.

Wcześniejsze interpretacje „Fausta” Beaty Redo-Dobber

Należałoby podkreślić, że ta interesująca i dojrzała interpretacja ukształtowała się pod wpływem wcześniejszych prac autorki nad „Faustem”. Wcześniej Beata Redo-Dobber wystąpiła w roli dramaturga przy „Fauście” Gounoda, wyreżyserowanym przez Roberta Wilsona w Teatrze Wielkim w Warszawie (2008). Po nim był „Faust” z muzyką księcia Antoniego Henryka Radziwiłła, wystawiony na zamku w Wojanowie, w sierpniu 2012 roku. Wspaniałe plenerowe widowisko odbyło się przed Pałacem Wojanów, a wśród artystów pojawiły się sławy zarówno polskiej, jak i niemieckiej wokalistyki operowej, m.in. Mark Adler (tenor) z Berlina i urodzona w Lipsku Tatiana Hempel-Gierlach (sopran). Robert Gierlach (bas baryton), laureat międzynarodowych konkursów wokalnych w Vercelli i w Las Palmas oraz tenor Tomasz Krzysica, posiadający szeroki repertuar oratoryjno-kantatowy. Wydarzenie uświetniła Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Dolnośląskiej oraz Chór z Darmstadt pod batutą, jakże by inaczej, Marcina Nałęcza-Niesiołowskiego.



„Faust”, inscenizacja w Pałacu Wojanów, fot. Sebastian Martinez.



„Faust”, inscenizacja w Pałacu Wojanów, fot. Sebastian Martinez.

W tym „Fauście” – wspomina w wywiadzie udzielonym Małgorzacie Piwowar z „Rzeczpospolitej” Beata Redo-Dobber – *było prawie tyle samo tekstu mówionego, co śpiewanego, więc wymyśliłam, że każda z głównych postaci – Faust, Mefisto i Małgorzata – ma swoje alter ego w postaci tancerzy. Występowali aktorzy Wrocławskiego Teatru Pantomimy oraz Teatr Akt – poruszający się na szczudłach akrobaci.*

Tamten „Faust”, którego miałam szczęście oglądać i słuchać, uderzał przede wszystkim urodą plastyczną i pięknem muzycznego wykonawstwa. Widowisko wyróżniało się również udziałem akrobatów, wspaniałymi kostiumami oraz przemyślanym ruchem scenicznym. Tytułowy bohater, rozpięty pomiędzy dobrem a złem, tęsknił za pięknem i duchowością uosobioną w postaciach białych i błękitnych aniołów, wykonujących majestatyczny taniec. A jednak uległ złu, które w tym spektaklu uosabiały czerwono-czarne postaci diabłów.

Książę Antoni Radziwiłł stworzył pierwszą muzyczną adaptację „Fausta”

Niewielu wie, że **opera księcia Antoniego Radziwiłła jest pierwszą na świecie muzyczną adaptacją dzieła Johanna**

Wolfganga Goethego. Wybitny niemiecki poeta pisał „Fausta” w Pałacu w Ciszycy, należącym do jego przyjaciela, również pisarza, Antoniego Henryka księcia Radziwiłła, który – również tam – skomponował muzykę do opery „Faust”. O pozycji księcia w świecie muzyki może świadczyć także fakt, że wybitne postacie na czele z Beethovenem, Mendelssohnem i Chopinem dedykowały mu swoje utwory. W czasie pobytu w Weimarze książę osobiście zaprezentował Goethemu fragmenty partytury swojej opery.

„Faust” – opowieść o świecie współczesnym

Stworzona przez Beatę Redo-Dobber interpretacja „Fausta” Gounoda powstawała zatem latami, a na jego obecny kształt miała także wpływ potężna przestrzeń Hali Stulecia. Najważniejsza jednak stała się idea potraktowania opery jako współczesnej opowieści o świecie. Próba, dodajmy, ze wszech miar udana.

Osadzam historię w Europie żyjącej zagrożeniami, zaskakującymi codziennie doniesieniami – powiedziała we wspomnianym wywiadzie reżyserka. *Oczywiście główni bohaterowie mają swoją historię, znaną z Goethego, która jest zawsze aktualna, bo ludzie*

od pokoleń marzą, by zatrzymać młodość i radość życia. Akcja jednak nie będzie działa się tak, jak zapisał to Goethe.

„Faust” Gounoda jest prawdziwym arcydziełem niemieckiego romantyzmu. Zawiera wiele pięknych arii, a już walc czy marsz stanowią nieomal samoistne przeboje. Wrocławska wersja nie tylko punktuje te wszystkie smaczki, ale też ukazuje je jako integralną część operowej narracji. Zmiany dostrzeżemy już na początku.

Pierwsze skrzypce gra Mefistofeles

W akcie I, zamiast pracowni Fausta, widzimy ulicę, zaś na licznych ekranach pojawiają się obrazy, które widujemy codziennie w telewizji: wojny, terroryzm, ludzkie dramaty. Wszystko to zapowiada postać Mefistofelesa, który w centrum sceny Teatrum Mundi gra – dosłownie i w przenośni – pierwsze skrzypce. Jego dominacja nie wróży niczego dobrego, a jednak w ostatniej scenie dramatu to on jest wielkim przegranym, który przyznaje, że Małgorzata będzie zbawiona dzięki swej głębokiej wierze w Boże miłosierdzie.

Wszystko, co się dzieje „pomiędzy”, właściwie znamy z dramatu

Goethego oraz z libretta Julesa Barbiera i Michela Carré, a jednak Beata Redo-Dobber zmieniła akcenty, a częściowo także samo libretto. Jej doktor Faust jest współczesnym człowiekiem, posługującym się laptopem i wierzącym (do czasu), że wszystko można zmierzyć i zbadać. Ostatecznie jednak zrozumie, że poniósł klęskę, a radosne śpiewy młodych doprowadzają go do wściekłości, której daje wyraz, wygrażając im bronią palną. Myśli o samobójstwie, ale zmienia zdanie. Smutny i sfrustrowany, przeklina wszystko, także Boga i wzywa szatana. Pragnie od niego młodości, aby używać życia i zmysłowych przyjemności. Wprawdzie waha się jeszcze przed podpisaniem paktu, ale wówczas Mefistofeles ukazuje mu piękną Małgorzatę, przekonując go ostatecznie, aby porzucił lęk i sięgnął po pełnię życia.

Jako wojsko studenci Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im, gen. T. Kościuszki we Wrocławiu, fot. Opera Wrocławska.

W akcie II na scenę wrocławskiej inscenizacji „Fausta” wkraczają w zwartym szyku autentyczni żołnierze – studenci Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im. Gen. T. Kościuszki we Wrocławiu, przydając spektaklowi realizmu. Wraz z nimi pojawia się brat Małgorzaty, Walenty, który właśnie

wyrusza na wojnę. Wierzy, że przed śmiercią ocali go otrzymany od siostry medalion, ją zaś zostawia pod opieką zakochanego w niej Siebela i powierza Bogu, intonując podniosłą pieśń: *Avant de quitterces ces lieux*. Kiedy żołnierze świętują, pojawia się Mefisto, śpiewając pieśń o zupełnie innej wymowie – o złotym cielcu, który jest prawdziwym obiektem ludzkich pragnień, nie zaś wzniosłe ideały.

Na balu u szatana – śpiewa – *cielec jest zwycięzcą i Bogiem*. Podczas balu u szatana dochodzi do konfliktu między Mefistofelesem a Walentym, który pokonuje złe moce za pomocą potęgi krzyża. Ma jeszcze mocną wiarę, ale kiedy ją utraci, straci także życie, a przed śmiercią potępi siostrę. Na razie jednak triumfuje i wyrusza na wojnę, pełen wzniosłych myśli. Tymczasem pojawia się Faust i kurtuazyjnie komplementuje Małgorzatę, proponując odprowadzenie do domu. Ta jednak stanowczo odmawia, choć – jak się wkrótce okaże – ulega urokowi młodzieńca. Faust, któremu do tej pory Małgorzata podobała się przede wszystkim fizycznie, zachwyca się jej skromnością i uświadamia sobie, że jest zakochany: *Niech będzie pochwalone domostwo skrywające czystą duszę* – śpiewa w pięknej arii przed domem ukochanej (*Quel trouble inconnu-Salut, demeure chaste et pure*).



Katarzyna Mackiewicz (Małgorzata, sopran) i Eric Fennell (Faust, tenor), fot. Opera Wrocławska.



Katarzyna Mackiewicz (Małgorzata, sopran) oraz Walenty, fot. Opera Wrocławska

Małgorzata tymczasem otwiera skrzynię przyniesioną przez Mefista i stroi się w piękne szaty oraz klejnoty – pragnie się podobać ukochanemu. W takim momencie pojawia się u niej zaniedbywana przez męża sąsiadka. Ten zabawny epizod, w którym Mefistofeles gotów jest uwieść rzekomą wdowę, byle tylko Faust mógł wykorzystać sam na sam z Małgorzatą, wprowadza do opery elementy komiczne. Zaniedbywana kobieta – jak sugeruje ta scena – gotowa jest zaakceptować nawet diabła, byleby nie być sama. Tymczasem Faust ma skrupuły i gotów jest wycofać się, na co jednak szatan nie pozwala i kiedy Małgorzata wzywa ukochanego, ułatwia Faustowi wejście do jej sypialni. Sceny miłosne ukazują, że Małgorzata najpierw nie dowierza i

boi się, błagając, by Faust nie łamał jej serca, a jednocześnie wyznaje mu miłość, deklarując, iż gotowa jest za niego umrzeć.

Akt IV przynosi potępienie Małgorzaty. Scena rozgrywa się w katedrze, dokąd nieszczęsna, porzucona kobieta przychodzi się pomodlić. Patrzą na nią zewsząd potępiające spojrzenia ubranych na czarno osób, jest odpychana, opluwana i poniżana. W centrum owego „kościoła międzyludzkiego", jakby powiedział Gombrowicz, stoi Mefistofeles, który dodatkowo dręczy Małgorzatę obrazami piekła i potępienia. Ta jednak czuje, że głos, który do niej przemawia, nie należy do Boga i prosi, aby Pan zesłał jej swój Boski promień, po czym mdleje (piękna, dramatyczna aria: *Seigneur, daignez permettre*).

Tymczasem powraca z wojny Walenty, brat Małgorzaty, a widząc ją w ciąży, odrzuca święty medalik i pragnie zabić Fausta w pojedynku. Staje się jednak odwrotnie: wspomagany przez szatana kochanek siostry pozbawia go życia w nierównej walce. Umierając, Walenty przeklina Małgorzatę, choć ta błaga go o wybaczenie.



Noc Walpurgii, fot. Opera Wrocławska.



Noc Walpurgii, fot. Opera Wrocławska.

W akcie V Mefistofeles pragnie, by Faust zapomniał o tym, co się stało, toteż zabiera go w góry Harzu – na Noc Walpurgii. Scena ta we wrocławskim przedstawieniu również zawiera współczesne nawiązania, bo oto na balu – oprócz królowych i kurtyzan – pojawiają się ubrani we współczesne biznesowe uniformy kobiety i mężczyźni z aktówkami. Balet przypomina seksualną orgię, kiedy zdejmują oni swoje biurowe stroje, pod którymi kryją się skąpe czerwone *dessue*. Faust przyłącza się do bachanaliów, ale w pewnym momencie przypomina sobie o Małgorzacie i każe się do niej zaprowadzić.

Kolejna scena rozgrywa się w więzieniu, gdzie bohaterka

oczekuje na wyrok śmierci za zabicie nowo narodzonego dziecka. Na widok Fausta, który z pomocą Mefista przybył ją uwolnić, zaczyna przypominać utracone szczęście, sprawia jednak wrażenie, jakby nie do końca wierzyła w to, co dzieje się naprawdę. A kiedy słyszy ponaglenia złego ducha, kategorycznie odmawia wzięcia udziału w ucieczce. To największa próba dla niej, nie traci jednak wiary i zawierza swoje życie Bogu. Powierzywszy swoją duszę niebiosom (*Anges purs, anges radieux*), zostaje jednak zbawiona, co oznajmia sam Mefisto. Jej postawa przynosi także zbawienie Faustowi – oboje wędrują ku niebu.

Kończąc operę w taki sposób reżyserka pozostaje wierna przesłaniu „Fausta" Goethego, w myśl którego „wieczna kobiecość pociąga nas wzwyż" (*Das Ewig-Weibliche zieht uns hinan).*

Walory wrocławskiego widowiska

Miałam okazję obejrzeć „Fausta" w Hali Stulecia dwukrotnie, w obu obsadach. Obaj wykonawcy roli Mefistofelesa dysponowali głębokim mocnym basem, okazali się również dobrymi aktorami, choć rola gruzińskiego śpiewaka, **Niki Guliashvili**, była bardziej

widowiskowa, zaś słoweński bas, **Peter Martinčič,** starał się być nade wszystko dramatyczny i groźny. Podobnie różniły się od siebie Małgorzaty. **Katarzyna Mackiewicz** dysponowała przepięknym dramatycznym sopranem, który przemawiał do serca, szczególnie w drugiej części widowiska. Inaczej zagrała też postać bohaterki w scenie śmierci jej brata, kiedy to przytula go jak matka, tworząc figurę piety, co dużo mówi o jej wewnętrznej dojrzałości, jako postaci. Małgorzata **Iwony Sochy** jest bardziej dziewczęca i dziecinna, a jej sopran, choć brzmiał przepięknie, zwłaszcza w ariach miłosnych, nie miał w sobie takiego głębokiego dramatyzmu, jak w przypadku Katarzyny Mackiewicz. Jako Faust bardziej przemówił do mnie swoją interpretacją francuski tenor **Sebastien Gueze**, może dlatego, że pewniej czuł się w swoim ojczystym języku, niż amerykański tenor liryczny, **Eric Fennell**. Jako Walenty ogromnie podobał mi się **Stanisław Kuflyuk** – nie tylko ze względu na wspaniały baryton, ale również dlatego, że był aktorsko bardziej wiarygodny.

Scena finałowa, Iwona Socha (Malgorzata) i Sebastien Gueze (Faust), fot. Opera Wrocławska.

Na pochwałę zasługuje także koncepcja scenograficzna: zarówno ciekawe projekcje multimedialne, jak na przykład katedra z wszechobecnymi oczami, przypominającymi prace plastyczne schizofreników (Małgorzata zaczyna pogrążać się w samotności i czuje się osaczona), wielofunkcyjna scena obrotowa (wielka klepsydra czasu, dom Małgorzaty, jej sypialnia, bar w scenie balu u szatana, tron podczas Nocy Walpurgii, schody do Nieba itd.). Znakomita była również choreografia Jacka Tyskiego, zwłaszcza w scenie Nocy Walpurgii. No i wspaniale poprowadzone chóry, które w koncepcji Beaty Redo-Dobber, zostały idealnie wkomponowane w całość spektaklu, stanowiąc jego wielki atut. Muzycznie panował nad wszystkim znakomity dyrygent, **Marcin Nałęcz-Niesiołowski**. W przypadku tak wielkich widowisk łatwo spłycić dzieło, a jednak tak się w tym przypadku nie stało. Przeciwnie, otrzymaliśmy w prezencie na koniec bardzo udanego sezonu wspaniałe, mądre i piękne oraz spójne artystycznie widowisko. Brawo!

Premiera opery „Faust” Charlesa Gounoda w reżyserii Beaty Redo-Dobber oraz pod batutą Marcina Nałęcza-Niesiołowskiego odbyła się 23 i 24 czerwca 2017 roku we wrocławskiej Hali Stulecia.

Galeria



Eric Fennel w scenie Nocy Walpurgii, fot. Opera Wrocławska.



Nika Guliashvili (Mefistofeles, bas), fot. Opera Wrocławska.



Peter Martinčič jako Mefistofeles, fot. Opera Wrocławska.



Iwona Socha jako Małgorzata i Sebastien Gueze jako Faust, fot. Opera Wrocławska.



Iwona Socha jako Małgorzata, fot. Opera Wrocławska.

Koncert ELECTRIC LIGHT ORCHESTRA

w Polsce, w Dolinie Charlotty. Support – The Bootels. 12 lipca 2017 r.

Dolina Charlotty to duży obszar rekreacyjno-wypoczynkowy znajdujący się obok wsi Gałęzinowo nad jeziorem Zamełowskim, niedaleko Słupska, blisko nadmorskich plaż w okolicach Ustki. Od 2007 roku odbywają się tu wielkie rockowe festiwale, na które przyjażdżają gwiazdy światowych scen. W tym roku w Dolinie Charlotty odbędzie się już 11 Festiwal Legend Rocka, a bohaterem będzie zespół The Orchestra starring former members of Electric Light Orchestra.



THE ORCHESTRA starring former members of ELECTRIC LIGHT ORCHESTRA

Od 17 lat The ORCHESTRA koncertuje na całym świecie grając porywające wersje niezapomnianych przebojów wylansowanych przez Electric Light Orchestra. Założyciel zespołu wokalista i gitarzysta Jeff Lynne rozwiązał ELO w 1986 r. Wtedy też jego partner, perkusista Bev Bevan powołał do życia ELO Part II, które po jego odejściu w 1999 r przybrało ze względów prawnych nazwę THE ORCHESTRA.

Grupa ELO sprzedała ponad 50 mln płyt na całym świecie, miała 20 przebojów na liście Top 20 w Anglii i 15 hitów Top 20 na liście magazynu Billboard w USA.

„Can't Get It Out of My Head", „Evil Woman", „Strange Magic", „Livin' Thing", „Telephone Line", „Rockaria!""Turn to Stone", „Sweet Talkin' Woman", „Mr. Blue Sky" „Shine a Little Love",

„Last Train to London”, „Confusion” oraz największy hit ELO czyli „Don’t Bring Me Down” to podstawa koncertowego repertuaru THE ORCHESTRA. Wszystkie te ulubione przeboje będzie można wreszcie usłyszeć po raz pierwszy w Polsce w oryginalnej wersji w Charlottcie.

W skład zespołu wchodzą:

Mik Kaminski – członek ELO i ELO Part II grający na słynnych skrzypcach „Blue Violin”
Louis Clark – członek ELO i ELO Part II uchodzący za mistrza orkiestrowych instrumentów klawiszowych
Eric Troyer – członek ELO Part II, wokal, instrumenty klawiszowe, gitara
Parthenon Huxley – członek ELO Part II, gitara, wokal
Gordon Townsend – członek ELO Part II, perkusja
Glen Burtnik – członek ELO Part II, wokal, bas



Jako support 12 lipca zagra zespół The Bootels

Zespół powstał w 2005 r. w Łodzi. Grupa została stworzona przez gitarzystę Piotra Jełowickiego. basistę Zbyszka Frankowskiego, perkusistę Andrzeja Żukiewicza oraz gitarzystę Wiktora Daraszkiewicza. Impulsem była miłość do muzyki Beatlesów. Dlatego członkowie The Bootels porozumieli się błyskawicznie i zaczęli grać piosenki słynnej czwórki. Grać tak, aby zachować ich ducha, ale jednocześnie dodać coś od siebie i sprawić, żeby mające po kilkadziesiąt lat utwory, brzmiały

współcześnie. Bootelsi przearanżowali je w mistrzowski sposób: pozostawili m.in. charakterystyczne harmonie wokalne, ale dodali sporo gitarowego zgiełku i metalowej mocy. Sięgnęli po znakomite instrumenty i wzmacniacze z lat 60. i 70., ale korzystają też z nowinek technicznych. Połączenie feelingu i czadu, tradycji i nowoczesności dało w ich wykonaniu świetne efekty. Od pierwszych taktów słychać w tych nagraniach style Beatlesów i… Bootelsów. Łodzianie zmierzyli się z legendą chłopców z Liverpoolu, bo jak twierdzą, twórczość Johna, Paula, Georga i Ringo jest wieczna. Trzeba jednak dodać, że The Bootels to już także legenda. Legenda muzyków, którzy tworzyli historię polskiego rocka, a teraz spotkali się w łódzkiej supergrupie. Ich biografiami można by obdzielić kilka kapel. Grający na gitarze basowej i śpiewający Zbigniew Frankowski w latach 60. grał w zespołach: Bardowie, Cykady, Śliwki i Vox Gentis (w duecie z Markiem Jackowskim, później liderem Maanam). Sukces osiągnął z grupą Quorum śpiewając piosenkę „Ach co to był za ślub” (I miejsce na festiwalu w Opolu 1970). Później występował w zespole Anawa z Markiem Grechutą, a następnie z Andrzejem Zauchą. Od 1974 r. akompaniował Maryli Rodowicz (m.in. „Kolorowe jarmarki” i „Remedium”).

Obecny skład zespołu to: Zbigniew Frankowski (gitara basowa, wokal), Andrzej Żukiewicz (Perkusja, wokal), Piotr Jełowicki (gitara, wokal), Zbigniew Danielewicz (klawisze, wokal). Debiut sceniczny tego składu odbył się 23 października 2009 w

Filharmonii Łódzkiej.

Zespół The Bootels jest posiadaczem certyfikatu wydanego przez właścicieli klubu The Cavern, potwierdzającego wysoki poziom w reprezentowaniu muzyki beatlesowskiej na świecie.

Culture Avenue przygotowuje rozmowę z założycielem The Bootels – Piotrem Jełowickim.



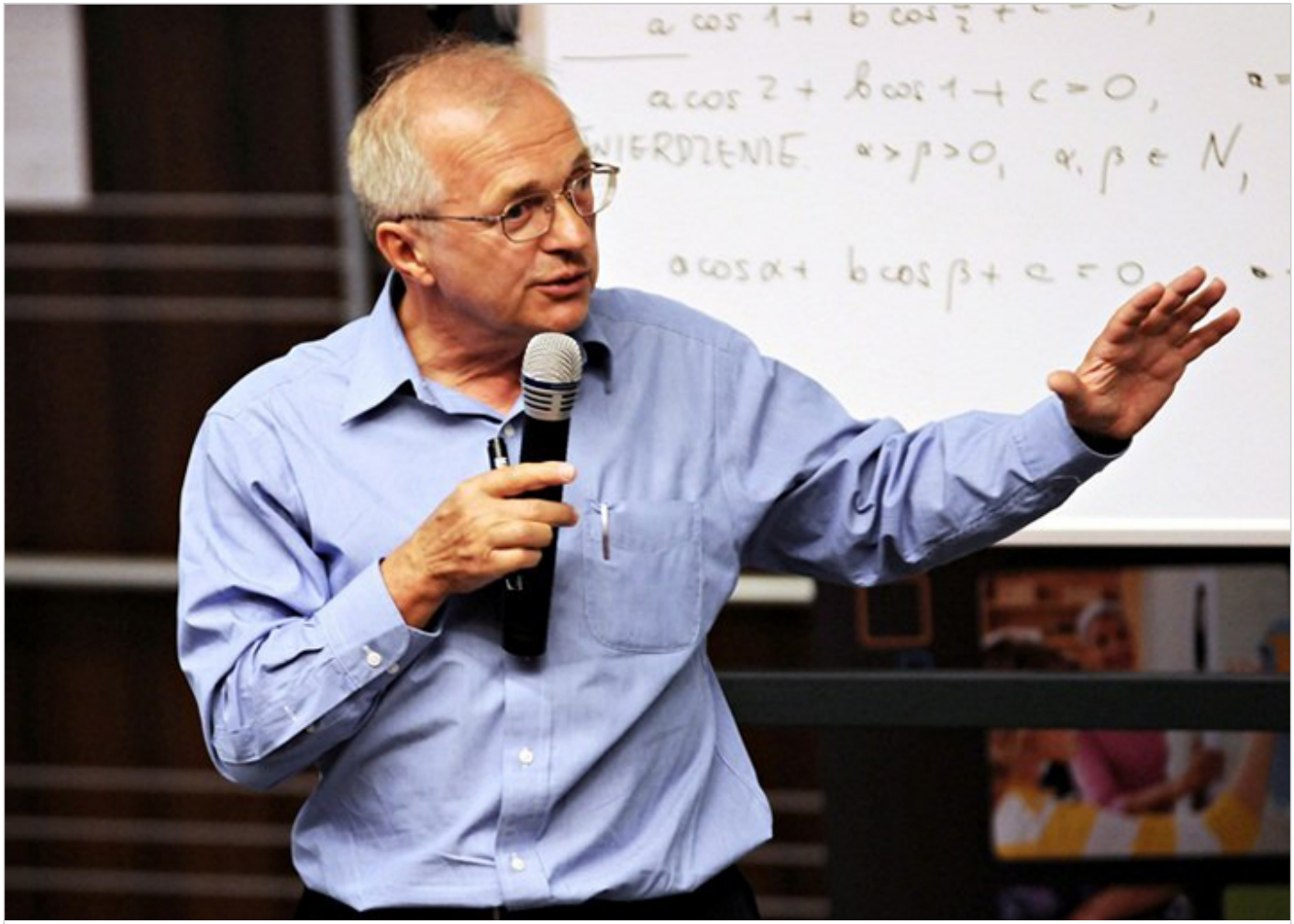
https://www.youtube.com/watch?v=Kx-gYXsTTHM

Źródło:
http://www.legendyrocka.com/the-orchestra-starring-former-members-of-electric-light-orchestra

---

Matematyka to moja miłość!

Rozmowa z HENRYKIEM IWAŃCEM, profesorem matematyki na Rutgers University w stanie New Jersey w USA, laureatem „matematycznego Nobla”, czyli prestiżowej nagrody The Shaw Prize 2015, którą otrzymał 24 września 2015 roku w Hongkongu za swoją działalność naukową.



Henryk Iwaniec, fot. portEl.pl

Janusz Szlechta: Pytać matematyka to trudna sprawa, a pytać mąd

rze to już prawdziwa sztuka. W takim razie zapytam Pana o coś banalnego, w myśl zasady, że nie ma głupich pytań: czy dostał Pan kiedyś w szkole dwóję z matematyki, ale nie za to, że zapomniał Pan zeszytu lub odrobić pracę domową, bo to każdemu może się zdarzyć, ale za źle rozwiązane zadanie?

Henryk Iwaniec: W szkole podstawowej, w której uczyłem się w Elblągu, a skończyłem ją w roku 1961, nie interesowałem się matematyką. Nie przypominam sobie nic takiego, co dotyczyłoby tego pytania. Potem kontynuowałem naukę, razem z bratem bliźniakiem Tadeuszem, w technikum mechanicznym, też w Elblągu. Wówczas obaj zainteresowaliśmy się matematyką. Najpierw uczestniczyliśmy w szkolnych zawodach matematycznych, potem w tych na wyższym szczeblu, już w Gdańsku. Na Politechnice Gdańskiej działało kółko matematyczne i szkoła wysyłała nas raz w miesiącu na te zajęcia.

Kiedy byliśmy w trzeciej klasie, zaczęliśmy brać udział w olimpiadach matematycznych. No i od razu zaczęliśmy odnosić sukcesy. Naszym nauczycielem matematyki był Andrzej Wendecker – wspaniały człowiek i pedagog. Miał taki zwyczaj, że jak brał ucznia do odpowiedzi, to kładł na stole jego zeszyt. Kiedy uczeń udzielał złych odpowiedzi lub w ogóle nie potrafił odpowiedzieć, stopniowo przesuwał zeszyt ku brzegowi stołu, aż do momentu, kiedy spadł na podłogę. Wówczas wiadomo było, że uczeń otrzymywał dwóję! Wyglądało to dosyć kolorowo i dramatycznie. O ile pamiętam, mój zeszyt nigdy nie leżał na podłodze.

Po pewnym czasie nauczyciel już nic ode mnie i od brata nie wymagał, nawet prac domowych nie musieliśmy odrabiać. Jak była klasówka, to prosił nas, abyśmy wyszli z sali i nie

przeszkadzali kolegom. Wszyscy to rozumieli po naszych sukcesach na olimpiadach. Mieliśmy wtedy czas na to, aby odrabiać pracę domową z innego przedmiotu czy też przygotować się na następną lekcję, na przykład z języka polskiego. Praktycznie więc przestaliśmy brać udział w lekcjach matematyki. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek otrzymał dwóję z matematyki.

JSz: Jest Pan absolwentem technikum mechanicznego w Elblągu. Chciałbym się upewnić, czy to właśnie wtedy narodziła się w Panu miłość do matematyki?

HI: Tak. O Einsteinie i jego teorii względności dowiedzieliśmy się z bratem jeszcze w podstawówce z Encyklopedii Powszechnej – zafascynowało nas to, ale oczywiście nic z tego wówczas nie rozumieliśmy. Po sukcesach na olimpiadach matematycznych zaczęła w nas kiełkować fascynacja, a potem – jak to pan określił – miłość do matematyki. U nas w domu nie było tradycji naukowych, matematyka jawiła się jako coś abstrakcyjnego, nieosiągalnego, więc gdyby nie nauka w technikum i olimpiady, to na pewno nie zostalibyśmy matematykami.

Muszę jednak podkreślić, że rodzice, a szczególnie mama, stwarzali nam świetną atmosferę do nauki, zachęcali i okazywali wiarę w nas. W szkole już niewiele mogliśmy się nauczyć, więc tak naprawdę zaczęliśmy studiować matematykę na własną rękę.

Poznaliśmy dzięki temu piękno rozumowania teoretycznego i abstrakcyjnych pojęć. W pewnym momencie zgłębiłem pojęcie funkcji ciągłej. Potem przyswoiłem sobie ogólną definicję ciągłości, gdzie nie wymaga się pojęcia metryki czy dystansu między punktami – obowiązuje tu zasada algebry zbiorów otwartych oraz zamkniętych i tworzonych na nich funkcji. Zafascynowała mnie wówczas potęga umysłu ludzkiego, że można zdefiniować takie pojęcie jak ciągłość, nie używając w ogóle metryki, tylko teorii zbiorów. Dobrze się stało, że przyszło to we właściwej kolejności: najpierw bowiem nauczyłem się klasycznej definicji ciągłości i porządnie to opanowałem, a potem dostrzegłem piękno w abstrakcji. To przychodzi samo i dobrze, że tak się dzieje. Dzisiaj mówię do moich studentów: samo słuchanie wykładów to jest za mało, to trzeba przeżyć samemu, zagłębić się w to, zafascynować.

JSz: Pana brat bliźniak, Tadeusz, też jest dzisiaj znanym i cenionym matematykiem w USA. Czy wspólnie zdecydowaliście, że matematyka to jest to, co dla was jest najlepsze? Czy spieraliście się w przeszłości, gdy przychodziło wam rozwiązywać matematyczne problemy?

HI: Uczyliśmy się w technikum mechanicznym, więc logika by nakazywała, abyśmy podjęli studia techniczne i zostali inżynierami. Rodzice chcieli, abyśmy podjęli studia na politechnice, bo tam zdobywa się dobry zawód. Ale nasze

sukcesy na olimpiadach matematycznych oraz to, że matematyka nami zawładnęła, sprawiły, że wybór studiów i naszej przyszłości był właściwie przesądzony.

Nigdy z bratem nie miałem „matematycznych potyczek", czyli nie było takiej sytuacji – nic takiego nie pamiętam – abyśmy się sprzeczali nad zadaniami czy problemami, które przyszło nam rozwiązać. Natomiast chętnie dyskutowaliśmy, zadawaliśmy sobie nawzajem pytania i próbowaliśmy znaleźć odpowiedź.

JSz: Czy to oznacza, że nie rozmawialiście na przykład o dziewczynach, tylko o matematyce?

HI: No nie, aż tak źle nie było. Rozmawialiśmy o wszystkich naszych codziennych problemach. Zdarzało się nam też, że chodziliśmy na fajne imprezki. Bardzo mi się spodobało, jak ktoś z Elbląga napisał o nas na swoim portalu: „Fajne chłopaki byli".

W klasie było sympatycznie, lubiliśmy się. Wielu naszych kolegów odnosiło sukcesy w różnych dziedzinach, a niektórzy byli nawet świetnymi polonistami. Edward Łuczyński jest teraz profesorem polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim. Inny kolega pasjonował się malarstwem, bez przerwy opowiadał nam o kubizmie. Waldek Ryś był świetnym łyżwiarzem szybkim. Potem trenował swoją siostrę Erwinę, która zdobyła wielokrotnie mistrzostwo Polski, była medalistką mistrzostw Europy i świata.

Adam Giersz miał sukcesy w tenisie stołowym, kilka lat temu był ministrem sportu. W naszej klasie nie było konkurowania, zazdrości, a raczej wzajemnie się dopingowaliśmy i podkręcali.

JSz: Widziałem zdjęcie, na którym Pan i brat gracie na gitarach. To było chwilowe zauroczenie muzyką, czy coś poważniejszego?

HI: W pewnym momencie zapisałem się do kółka muzycznego, interesowałem się też malarstwem i elektrotechniką. Warunków fizycznych dla uprawianiu sportu nie miałem, ale raz udało mi się skoczyć w dal ponad 5 metrów. Podczas zajęć w kółku muzycznym nauczyłem się czytać nuty, a potem z bratem grywaliśmy sobie od czasu do czasu, ale zupełnie po amatorsku. To była fajna zabawa, odskocznia od codziennego zagonienia, bo zajęć w szkole mieliśmy sporo i trzeba było naprawdę dużo czasu poświęcać na naukę. Bardzo lubię muzykę, ale nie mam talentu muzycznego. Gitara do dziś leży w pokoju, spoglądam na nią od czasu do czasu, ale od dawna nie gram. Brat grał o wiele dłużej i lepiej, muzyka w pewnym momencie go pochłonęła. Grał nawet etiudy Heitora Villa-Lobosa, co oznacza, że osiągnął naprawdę przyzwoity poziom.

JSz: Razem z bratem skończył Pan studia matematyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Potem przyszedł czas na doktorat, habilitację… Jak wyglądało to Pana wspinanie się po drabinie naukowej?

HI: Miałem to szczęście, że po pierwszym roku studiów uczestniczyłem w wykładach prof. Andrzeja Schinzla w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk. To znakomity naukowiec, który wywarł na mnie wielki, bardzo pozytywny wpływ. Na uniwersytecie poznałem Kasię, która studiowała ze mną na jednym roku; zaraz po studiach pobraliśmy się.

Na IV roku miałem już oddane do druku dwie prace naukowe. Wydział Matematyki UW otworzył mi przewód doktorski, właśnie na podstawie tych dwóch prac. W Polsce byłby to ewenement, swoisty „Raising Star", gdybym obronił doktorat przed uzyskaniem magisterium. Według przepisów, jest to możliwe, ale trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje, musi być też ktoś, kto promuje takiego człowieka. Ostatecznie nie doszło do tego z banalnego powodu – musiałem zdać egzamin z filozofii marksistowskiej.

Mieliśmy kurs filozofii marksistowskiej na wydziale, ale wymagania odnośnie doktoratu były inne. Udałem się do prof. Władysława Krajewskiego, aby umówić się z nim na ten egzamin. Przekazałem mu list od Rady Wydziału. Po jego przeczytaniu zapytał mnie, czy chodziłem na wykłady. Odpowiedziałem, że… nie. A on na to: „Hm, to będzie trudno". Był dla mnie bardzo życzliwy. Powiedział, że da mi materiały do przeczytania, a potem przyjdę na egzamin, kiedy uznam, że jestem gotowy, a on

będzie mnie pytał z tych właśnie materiałów. Dał mi kilka książek i broszur do przeczytania.

Po sześciu miesiącach, kiedy już obroniłem pracę magisterską i podjąłem pracę w Instytucie Matematyki PAN, postanowiłem pójść na ten egzamin. „Przejrzałem te materiały" – powiedziałem skromnie. Nie czułem się mocny w tej filozofii. Profesor najpierw zadał mi pytanie, co to jest solipsyzm. Coś tam mu odpowiedziałem, bo kiedyś czytałem na ten temat. Potem zapytał, czy lubię fizykę. Odpowiedziałem, że tak. „No to co to jest zasada nieoznaczoności Heisenberga?" – zapytał. Oczywiście odpowiedziałem starając się utrzymać ten temat egzaminu jak najdłużej. Chyba wyczuł moje intencje, bo wtedy stwierdził: „Wie pan, jednak to musi być egzamin z filozofii marksistowskiej, muszę panu zadać pytania z tej dziedziny". Zapytał mnie, jaka jest różnica między materializmem a empiriokrytycyzmem według Plechanowa i… wysiadłem kompletnie. Wtedy profesor zapytał: „Czy to będzie fair, jak uśrednię panu ocenę za te trzy pytania?". No i zdałem. Dzięki temu w marcu 1972 roku obroniłem doktorat, czyli 8 miesięcy po uzyskaniu magisterium.

JSz: Czym wówczas się Pan zajmował jako pracownik Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk?

HI: Analityczną teorią liczb, bo to była moja specjalizacja. Zacząłem się w tym specjalizować już na drugim roku studiów.

Profesor Schinzel, który nie pracuje w tej dziedzinie, ale ma dużą wiedzę, dał mi wolną rękę. Widział, że nie potrzebuję żadnej pomocy. Habilitację zrobiłem w roku 1976, cztery lata po doktoracie. Nie było to jakieś szalone tempo, ale nie ma co ukrywać, że wspinałem się po tej drabinie dużo szybciej niż moi koledzy. Brat Tadeusz też szybko zrobił doktorat. Moja żona Kasia obroniła doktorat parę lat po mnie.

To, co robiłem, znalazło szybko oddźwięk za granicą. Miało to znacznie większy wpływ na moją biografię niż terminy, w których to się wydarzyło. Najpierw wyjechałem do Wielkiej Brytanii, aby prowadzić odczyty w Nottingham, Cambridge i w Cardiff. Bardzo słabo mówiłem wówczas po angielsku, bo w technikum uczyłem się tylko rosyjskiego.

Szybko zrozumiałem, że bez angielskiego nie mam żadnych szans na sukces międzynarodowy. Zacząłem więc uczestniczyć w wielu bardzo intensywnych kursach języka angielskiego. Nie mam, niestety, zdolności do języków. Miałem nawet „dziurę” w pracy naukowej, bo absolutnie poświęciłem się nauce angielskiego. W roku akademickim 1976/77 pojechałem do Scuola Normale Superiore di Pisa we Włoszech na stypendium Accademii Nazionale dei Lincei. Co ciekawe, to nie języka włoskiego tam się nauczyłem, lecz poprawiłem swój angielski, bo współpracowałem z Kanadyjczykiem Johnem Friedlanderem, z którym spędzałem większość czasu. To mi bardzo pomogło, bo rozmawiałem z nim

wyłącznie po angielsku. Pobyt we Włoszech otworzył mi okno na świat. Do dziś John, który jest profesorem na Uniwersytecie w Toronto, jest moim głównym współpracownikiem i bliskim przyjacielem.

JSz: Zaczął się Pan otwierać na świat, ale i świat stanął przed Panem otworem. Kiedy i dlaczego wyjechał Pan do Stanów Zjednoczonych?

HI: To nie nastąpiło tak szybko. Najpierw pojeździłem trochę po Europie. W Instytucie Matematycznym PAN nie było obowiązku uczenia studentów, więc łatwiej było wyjechać gdziekolwiek, jeśli był powód. Należy jednak pamiętać, że w czasach PRL-u bardzo trudno było zdobyć papiery upoważniające do wyjazdu. Byłem w Szwecji, Holandii, Finlandii, Niemczech, Związku Radzieckim, wiele razy we Francji i w Anglii. Prowadziłem seminaria i wykłady na konferencjach naukowych. W 1979 roku zostałem zaproszony do Bordeaux, gdzie przez rok prowadziłem wykłady dla doktorantów. Francuskiego troszeczkę złapałem, ale tak naprawdę trudno było mi się porozumiewać w tym języku. Był to jednak dla mnie duży przełom zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. Złapałem bliski kontakt z matematykami francuskimi w mojej dziedzinie badań, co zaowocowało potem długą współpracą. Francuzi docenili moją pracę i 10 lat temu otrzymałem nawet tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Bordeaux.

Do Stanów Zjednoczonych wyjechaliśmy we wrześniu 1983 roku. Nie miałem wówczas żadnych ukrytych planów, aby zostać w tym kraju na stałe. Otrzymałem bardzo prestiżowe zaproszenie na rok do Instytutu Badań Zaawansowanych w Princeton. Amerykanie uruchomili specjalny program matematyczny z mojej dziedziny i właśnie mnie zaproszono do realizacji tego programu, jako że już byłem osobą dosyć dobrze znaną w świecie matematycznym. Był to decydujący argument dla mojego szefostwa w PAN, aby mnie puścić. Uznano, że jest to zaproszenie równoznaczne z tym, jakby polską primadonnę zaproszono do Metropolitan Opera w Nowym Jorku.

Tuż przed wyjazdem do USA, wiosną 1983 roku, zostałem promowany na profesora. W Belwederze uścisnął mi dłoń prof. Henryk Jabłoński, ówczesny przewodniczący Rady Państwa. Rodzina czekała na mnie za płotem, bo nie pozwolili im wejść do środka. W tym samym roku, też przed wyjazdem, zostałem członkiem korespondencyjnym Polskiej Akademii Nauk.

Do Stanów przyjechałem z żoną i dwiema córkami: Ania miała 5 lat, a Irenka – 10. Po roku chciałem wracać do Polski, ale dostałem kolejne zaproszenie z Michigan University w Ann Arbor. Pracował tam już mój brat Tadeusz, który wcześniej otrzymał zaproszenie z tego uniwersytetu. Nie było w tym żadnych kombinacji, żadnej konspiracji, to był zupełny przypadek. W Michigan pracowałem tylko przez jeden semestr

letni i chciałem wracać do Polski. Wówczas doszliśmy z żoną do wniosku, że może by jednak troszkę dłużej zostać w Stanach ze względu na dzieci.

Pozwoliło nam zostać kolejne zaproszenie na jeden semestr, które otrzymałem z Uniwersytetu Kolorado w Boulder. Otrzymałem tytuł „Ulam Distinguish Visiting Professor". Prof. Stanisław Ulam z Polski, który pracował na Uniwersytecie w Boulder, to znakomita postać. Był przedstawicielem lwowskiej szkoły matematycznej, a potem współtwórcą amerykańskiej bomby termojądrowej. Niestety, zmarł kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Boulder.

Praca na Uniwersytecie Kolorado to był dla mnie i dla mojej rodziny piękny czas. Wówczas zacząłem myśleć zdecydowanie o powrocie do Polski. Tym bardziej że zaczął się o mnie dopominać Instytut Matematyczny PAN w Warszawie. Domagali się, abym wracał.

W tym czasie otrzymałem jednak kolejne zaproszenie – tym razem z Uniwersytetu w Teksasie. Napisałem list, że chętnie podejmę u nich pracę w jednym semestrze – wiosną 1985 roku. Następnego dnia, po wysłaniu tego listu, otrzymałem zaproszenie z Institute for Advanced Study w Princeton na 3 lata – czyli z tego samego Instytutu, w którym podjąłem pierwszą pracę w USA. Po namyśle stwierdziłem, że nie jadę do Teksasu,

tylko do Princeton. Nie było wówczas internetu, więc zadzwoniłem do Teksasu i poprosiłem, aby zniszczyli mój list przed otwarciem, kiedy go otrzymają. I udało się. Zacząłem negocjować z Warszawą, aby wyrazili zgodę na mój dalszy pobyt w USA, co było naprawdę trudne. Musiałem aplikować o zwolnienie z pracy w IMPAN. Ostatecznie wylądowaliśmy znowu w Princeton. Tutaj zapuściliśmy korzenie. Dzieci uczyły się w amerykańskich szkołach, a ja miałem wyśmienite warunki do pracy.

JSz: Pana żona jest doktorem matematyki… Czym ona zajmowała się w tym czasie?

HI: Kasia nie miała jeszcze wówczas pozwolenia na pracę w USA, więc zajmowała się domem i dziećmi – tak ustaliliśmy i to było najlepsze rozwiązanie. Nie musiała pracować. Później odkryła w sobie talent artystyczny, gdzieś tam zagubiony, i zaczęła malować obrazy. I robi to świetnie.

JSz: Kiedy zaczęliście dojrzewać do tego, że jednak zostaniecie na stałe w Stanach Zjednoczonych?

HI: Dojrzeliśmy jesienią 1986 roku. I wtedy tak naprawdę zaczęła się nasza emigracja.

Byłem już znany, stąd też miałem różne propozycje – chcieli mnie

na przykład zatrudnić na Stanford University w Kalifornii. Ale przebił wszystkich wiceprezydent Rutgers University w New Brunswick, NJ, który zaprosił mnie na spotkanie. Od razu zaproponował mi stanowisko New Jersey State Professor. W całym stanie było tylko 8 takich stanowisk. Nie musiałem więc wspinać się po żadnych drabinach. Wiem, że Polaków w Stanach traktuje się gorzej niż Niemców, Francuzów, Anglików czy Rosjan, mimo że jesteśmy często lepsi, bardziej potrzebni. Według mnie jest to taki amerykański syndrom. Tymczasem ja, Polak, zostałem potraktowany tak, jak należy, czyli z szacunkiem i uznaniem. Nikt nie kwestionował moich dyplomów i kompetencji. To mi zaimponowało.

W styczniu 1987 roku podjąłem już stałą pracę jako profesor Rutgers University. Otrzymałem też znakomite warunki i wynagrodzenie. Myślę, że nikt by nie odrzucił takiej oferty.

Prof. Andrzej Schinzel, który musiał dla PAN napisać raport na temat mojej rezygnacji z pracy w Polsce, napisał dosłownie: „Henryk wyjechał w 1983 roku do Stanów Zjednoczonych i… już nie wrócił”. Ja mu odpowiedziałem wówczas: „Andrzej, godzina odlotu z lotniska Okęcie nie jest dla mnie datą wyemigrowania z Polski. Moja emigracja zaczęła się wówczas, kiedy zadecydowałem, że chcę być w Stanach”. Taka jest prawda. Bo ja nie chcę mieć zanotowane w papierach, że okłamywałem instytucję, w której zacząłem swoją naukową karierę – nigdy tak

nie było. Dbam bowiem o niuanse dotyczące mojego życia i pracy. Ja czuję się absolutnie Polakiem i to się nie zmieni. Dzisiaj fizyczna obecność w danym miejscu już nie jest tak istotna, liczy się to, co masz w sercu.



Henryk Iwaniec, fot. Janusz Szlechta.

JSz: W domu rozmawialiście z dziećmi po polsku?

HI: Oczywiście, bo nasz dom jest polskim domem.

JSz: A jak dzisiaj córki przyjadą – to już w końcu dojrzałe

kobiety, które mają amerykańskich mężów i dzieci – też rozmawiacie po polsku?

HI: Tak, bo tu nic się nie zmieniło. Irenka mówi bardzo dobrze po polsku, a Ania rozumie po polsku i w tym języku do niej mówię, chociaż woli odpowiadać po angielsku. Nie dziwię się, w końcu miała tylko 5 lat, gdy wyjechaliśmy z Polski, i cały czas ma do czynienia z Amerykanami. Kiedy zauważyliśmy w pewnym momencie, że traci kontakt z językiem polskim, wysłaliśmy ją na jeden semestr do szkoły w Polsce. Nie było to łatwe, długo przekonywaliśmy pryncypała High School w West Windsor, aby wyraził na to zgodę. Nie miał pojęcia o Polsce – czy to jest rzeka, czy kraj; twierdził, że Ania niczego tam się nie nauczy. Zapytałem go wówczas, czy wie, dlaczego ja dzisiaj jestem w USA. Zaniemówił i… wyraził zgodę. I dzięki temu, że Ania była kilka miesięcy w Warszawie, zachowała język polski i zdobyła dodatkową wiedzę na temat Polski i Europy. Była bardzo dobrą uczennicą. Potem skończyła studia inżynierskie w CALTECH w Pasadenie. Irenka skończyła studia artystyczne na Cooper Union w Nowym Jorku. Ania szybko zrobiła doktorat z inżynierii medycznej, teraz ma tytuł profesora i prowadzi wykłady w Kalifornii. Ma trójkę dzieci. Nie ukrywam, że jesteśmy z nich dumni.

JSz: Dla wszystkich emigrantów język jest sporym problemem. Mówił Pan wcześniej o swoich problemach, ale proszę

powiedzieć, jak szybko poradził Pan sobie z opanowaniem zawodowego języka angielskiego i czy Pana zdolności matematyczne były tu pomocne?

HI: Ubolewam nad tym, ale nie mam talentu do języków. Uparłem się jednak, dużo się uczyłem… Jak przyjechałem do USA, to już dobrze mówiłem po angielsku i nie miałem żadnych problemów z tym językiem. Oczywiście, mam wyraźny akcent, ale to mi nie przeszkadza w niczym.

JSz: Co było większym dla Pana problemem na początku pobytu w USA: kariera zawodowa czy proza życia, czyli to wszystko, co dotyczy spraw codziennych?

HI: Jak patrzę na kolegów czy ludzi z młodszej generacji i widzę, z jakimi problemami się borykają, jakie bariery muszą pokonywać, to z ulgą sobie myślę, że ja czegoś takiego nie przeżywałem. Stawiałem pierwsze kroki w Ameryce w Institute for Advanced Study w Princeton w stanie New Jersey, który ma ogromną renomę, jest świetnie zorganizowany. Nie musiałem budować swojej kariery w Stanach – dla mnie to była kontynuacja, a nie budowanie kariery. Nigdy też nie musiałem starać się o pracę – nie znam tego pojęcia. Pamiętam rozmowy z córkami, jak one musiały od początku uczyć się, a potem szukać tutaj miejsca dla siebie. Im o tyle było łatwiej, że wychowały się w Ameryce i naturalnie były przygotowane do takiego startu.

Oczywiście, nie byłem wolny od problemów dnia codziennego, martwiłem się, jak wszystko się ułoży. Z troską spoglądałem na dzieciaki i razem z żoną robiliśmy wszystko, aby im się powiodło w życiu.

JSz: Czy możliwe jest, aby w auli pełnej chińskich studentów, mając do dyspozycji tylko kredę i tablicę, poprowadzić interesujący wykład z matematyki tak, aby wszyscy go zrozumieli? Czy matematyka jest na tyle uniwersalnym językiem, że przełamuje bariery międzykulturowe?

HI: Odpowiedź jest bardzo prosta: tak! Matematyka jest językiem uniwersalnym. Chińczyk, Japończyk czy ktoś z Mozambiku bez problemu ją zrozumie. Oczywiście pod warunkiem, że zna matematykę. Jest to tylko kwestia poziomu słuchaczy. O tym, że Chińczycy znają matematykę i lubią ją, najlepiej świadczy fakt, że mamy na uniwersytetach amerykańskich wielu studentów z Chin. W Chinach byłem trzy razy, a czwarty raz pojechałem do Hongkongu odebrać nagrodę. Lubię tych studentów, bo traktują mnie jako ważnego nauczyciela, są wdzięczni za naukę – w odróżnieniu od niektórych studentów z innych krajów.

JSz: Czy współcześnie istnieją szkoły matematyczne, podobne do tych z początku XX wieku – chociażby słynnej szkoły lwowskiej? Jeśli tak, to czy podział wynika z geografii, granic

administracyjnych, czy może raczej ze sposobu myślenia, filozofii, uwarunkowań kulturowych?

HI: Moim zdaniem jest to raczej kwestia tradycji. Słynna polska szkoła matematyczna w okresie międzywojennym, a lwowska w szczególności, wyrosła na tym, że powstała nowa dziedzina matematyki – analiza funkcjonalna – i jako nowa dziedzina otworzyła się na wiele problemów, niedotkniętych jeszcze przez innych, co pozwoliło zabłysnąć polskim matematykom. To nie jest – moim zdaniem – możliwe, jeśli w danym ośrodku nie ma tradycji. Oczywiście, można coś nowego wymyślić i… niewiele z tego tak naprawdę wynika. Chodzi o to, aby to była trafna i potrzebna dziedzina, na przykład do rozwoju fizyki. Trzeba podkreślić, że tutaj ta polska szkoła popisała się i stworzyła coś nowego, co inni na świecie od Polaków potem przejęli. To nie byłoby jeszcze samo w sobie wystarczające gdyby nie fakt, że to się okazało fundamentalne dla rozwoju matematyki w tamtym okresie. Szkoła lwowska znakomicie prosperowała i to nie tylko w analizie funkcjonalnej, ale także w teorii zbiorów czy topologii. Wielką postacią był tu Stefan Banach, ale także Hugon Steinhaus czy Stanisław Mazur. Mógłbym o tym mówić długo, bo to jest bardzo ciekawa historia.

Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że to jest kwestia tradycji w danym ośrodku, a nie jakiejś tam przewagi jednej nacji nad drugą. W Mozambiku nie ma żadnej szkoły matematycznej tylko

dlatego, że nie ma tam nikogo, kto by ją zaczął tworzyć. Nie ma wystarczających warunków, dobrze postawionego szkolnictwa i odpowiednich nakładów. Ja pewnie też nie zostałbym matematykiem, gdyby polskie Ministerstwo Oświaty nie stworzyło olimpiady matematycznej.

W Stanach Zjednoczonych sporo wydaje się na naukę i mówi się, że potrzeba jeszcze więcej – zazwyczaj podczas kampanii wyborczych. Kiedy Rosjanie wysłali swój sputnik na orbitę wokół naszej planety i łunochod na Księżyc, w USA wybuchła panika, że Amerykanie zostają w tyle. I to podziałało – zaraz zaczęto zwiększać środki na rozwój tej dziedziny. Nikt nie ma wątpliwości, że amerykańska nauka jest w czołówce na świecie – to się bierze z nakładów i zrozumienia administracji rządowej. Rząd amerykański oczywiście inwestuje, ale też jest wielu filantropów, którzy tworzą prywatne instytuty, a także wspierają finansowo najlepsze uczelnie. Facet, który handluje elektroniką, zbudował w Palo Alto w Kalifornii wielki matematyczny instytut naukowy. Wynika to ze zrozumienia, że nakłady na naukę przynoszą różnego rodzaju korzyści dla kraju i pozwalają ściągać z zagranicy świetnych naukowców. Oczywiście nie wszystko w USA jest tak do końca fajne i pozytywne – ale to już temat na inną dyskusję. W Polsce nie ma jeszcze na tyle rozwiniętego kapitalizmu, aby taka filantropia była powszechna i miała istotne znaczenie dla nauki.

JSz: Czy dzisiaj możemy więc mówić o jakiejś konkretnej szkole matematycznej?

HI: Tak… i nie. Globalizacja, nie tylko ekonomiczna, ale także i naukowa, sprawia, że te ośrodki w dawnym stylu giną. Są oczywiście silne ośrodki badawcze w jakiejś konkretnej dziedzinie, ale przede wszystkim tam, gdzie znajdują się silne osobowości i środki finansowe. Na przykład Węgrzy są znani w świecie z tego, że mają mocne ośrodki w dziedzinach matematyki dyskretnej, takich jak kombinatoryka czy teoria grafów. Jest to kontynuacja ich tradycji.

W ostatnich latach w Polsce mamy raczej „suszę". Są oczywiście całkiem dobre uniwersytety, instytuty, ale konkurencja jest coraz większa i trudno jest znaleźć swoje szczególne miejsce. Dwa lata temu został zorganizowany kolejny wielki międzynarodowy kongres matematyczny w Korei Południowej, na który nikt z Polski nie został zaproszony do wygłoszenia odczytu. To było smutne. W ostatnich latach na arenie międzynarodowej polska matematyka jest mało widoczna, niewiele ma do powiedzenia. Nie rozdzierałbym jednak szat z tego powodu, bo zawsze i wszędzie bywają słabsze lata, tak jak w sadach owocowych.

JSz: Czy istnieje żargon matematyczny? Jeśli tak, to czy polski różni się na przykład od amerykańskiego i czy w związku z tym miał Pan trudności z komunikacją i zrozumieniem z

matematykami amerykańskimi?

HI: Istnieje oczywiście żargon, i to bardzo silny. Trudności w komunikowaniu się nie wynikają wcale z przynależności narodowej. I to nie jest problem jednego pokolenia, lecz wynika on z całego rozwoju matematyki. Na przykład istnieją terminy, które zostały stworzone kilkaset lat temu i są używane do dziś. Abyśmy mogli się porozumiewać, potrzebne jest konkretne słownictwo. Zamiast wymyślać jakieś dziwne określenia, najlepiej jest je porównać do czegoś, co istnieje już w naszym świecie. Na przykład po polsku mówi się „ciało", a po angielsku „field" – ale to nie ma nic wspólnego z naszym ciałem, lecz z algebraiczną strukturą. Tego trzeba się po prostu nauczyć, aby móc operować w teorii i być zrozumianym podczas jej prezentacji. To tak, jak niektórzy chcieliby, aby esperanto było językiem międzynarodowym… Rzecz w tym, że jest to martwy język, a żywym językiem, najlepszym dla komunikowania się między ludźmi jest angielski.

JSz: Amerykańskie uniwersytety to specyficzne miejsce na ziemi, a wydziały matematyczne na nich to wyjątkowe miejsce we wszechświecie, ale Pan unosi się tam z łatwością. Prawie nie odczuwając „grawitacji", szybuje Pan między jedną gwiazdą a drugą, czyli… między jedną nagrodą a drugą. Czy nie odczuwa Pan z tego powodu zazdrości wśród kolegów po fachu?

HI: Raczej nie odczuwam, bo to do mnie nie dociera. Może dlatego, że matematycy zazwyczaj nie robią interesu ze swojej działalności twórczej. A może też dlatego, że osiągnięcia matematyczne są tak bezsprzeczne, precyzyjne, że nie sposób się do nich przyczepić. Jedyna rzecz, która może budzić kontrowersje, to czy uzyskany wynik jest głęboki, ciekawy i potrzebny dla innych badań.

Oczywiście jest konkurencja, bo tego się nie uniknie. Ponadto osiągnięcie konkretnego matematyka jest często rezultatem pracy wielu innych ludzi, i to na przestrzeni lat. Jeśli ja postawię kropkę nad „i", to głupio jest się tego czepiać. Ktoś może czuć najwyżej niedosyt, że nie on to uczynił. Myślę, że podobnie jest i w innych dziedzinach nauki.

JSz: Czy na co dzień pracuje Pan tylko z Amerykanami, czy również z naukowcami innych narodowości?

HI: Prawdę powiedziawszy to nawet nie zastanawiałem się nad tym, bo nie ma to większego znaczenia. Komunikacja komputerowa tak wszystko pozmieniała, że dzisiaj praktycznie się nie odczuwa, czy ma się do czynienia z Włochem czy Japończykiem. Głównie pracuję z Amerykanami, ale to wynika z faktu, że pracuję na amerykańskim uniwersytecie, na którym dominują. Mam kontakt osobisty z naukowcami z różnych krajów, którzy pracują na Rutgers University.

JSz: Czy trudno było Panu zaadaptować się w amerykańskim środowisku matematycznym?

HI: Nie miałem żadnych problemów. Chyba nie pomylę się, jeśli powiem, że 60 procent wielkich naukowców pracujących na amerykańskich uniwersytetach czy w instytutach to są ludzie z zagranicy. Gdyby ci ludzie mieli problemy adaptacyjne, na pewno nie byliby tacy dobrzy w swoich dziedzinach. Potem się słyszy, że kolejną prestiżową nagrodę otrzymał wybitny amerykański naukowiec… Przecież ja też jestem klasyfikowany jako naukowiec amerykański.

JSz: Nie pytam o szczegóły, ale czym zajmuje się Pan, jako matematyk? Czy może to zrozumieć zwykły człowiek, taki jak ja?

HI: Oczywiście. Ja zajmuję się teorią liczb. Szczególnie pasjonuje mnie teoria liczb pierwszych, czyli nierozkładalnych. Liczby pierwsze są niczym cząstki elementarne w budowie materii: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 15, 17, 19… Jedynka nie jest liczba pierwszą – są oczywiście tego powody. Związane są z nimi pasjonujące problemy i są to jedne z najistotniejszych problemów do dziś nierozwiązanych we współczesnej matematyce. Jeden z nich przedstawia hipoteza Riemanna. Hipoteza ta, sformułowana w 1859 roku, dotyczy badanej przez niemieckiego matematyka Bernharda Riemanna funkcji dzeta. Jest to funkcja analityczna zmiennej zespolonej. Mówi ona, że zera tej dzeta funkcji, tzw.

nietrywialne zera (nierzeczywiste), mają część rzeczywistą równą 1/2. Ma to duży związek z rozmieszczeniem liczb pierwszych. Mamy nieskończoną ilość liczb pierwszych i jeśli chcemy zbadać ich mnogość to liczymy je do dowolnie wybranej wielkości x – i pytamy wówczas, ile ich jest. Okazuje się, że w dobrym przybliżeniu jest to x podzielone przez logarytm z x. Pytanie jest, ile ich jest naprawdę, czy otrzymamy precyzyjny wynik. Hipoteza Riemanna mówi, że błąd w asymptotycznym przybliżeniu wynosi około pierwiastek z wielkości x.

Jest to bardzo głęboka hipoteza. Każdy byłby dumny z jej udowodnienia. Problem ten ma duże znaczenie dla całej matematyki – w szczególności dla teorii liczb. Cieszę się, kiedy podczas wręczania jakiejś nagrody, podkreślane jest moje zainteresowanie teorią liczb pierwszych. Zajmuję się też teorią funkcji automorficznych, a jeszcze idąc dalej – spektralną teorią funkcji automorficznych. O tym mogę mówić raczej ze specjalistami. Mam tu różne osiągnięcia, które są już mniej uchwytne.

JSz: Czy może Pan zatem wyjaśnić – o czym zresztą mówił pan podczas spotkania w Druch Studio Gallery w Trenton w stanie New Jersey – która liczba jest większa: 2/3 czy 3/5?

HI: To był żart. Wielu młodych ludzi ma problem ze zrozumieniem podstaw matematyki, mają bowiem uprzedzenia.

Słynny rosyjski matematyk Gelfand Izrail Moisiejewicz uczył studentów, jak należy podchodzić do matematyki, gdyż – oprócz badań naukowych – zajmował się również pedagogiką. Kiedyś dziennikarz zapytał go, jak on to robi, że tak skutecznie uczy. Prof. Gelfand stwierdził, że każdego można nauczyć matematyki i każdy jest w stanie ją zrozumieć, ale trzeba mieć odpowiednie podejście. I stwierdził: jak na ulicy w Moskwie zapytasz przechodnia, która liczba jest większa: 2/3 czy 3/5 – to wzruszy ramionami i bezradnie rozłoży ręce. Ale sprawa staje się jasna, kiedy zapytasz: czy lepiej mieć trzy butelki wódki na dwie osoby, czy pięć butelek na trzy osoby? Wówczas każdy szybko odpowie, co jest lepsze.

Matematyka jest piękna, dlatego nie bardzo rozumiem, dlaczego nie może się przebić przez wszelkie uprzedzenia w szkołach i dlaczego tak dużo młodych ludzi jej się boi. Ale tak naprawdę każdy, kto lubi myśleć – polubi matematykę.



JSz: Otrzymał Pan bardzo prestiżową w świecie naukowym nagrodę Shaw Prize 2015 za stworzenie i rozbudowanie podstawowych narzędzi w teorii liczb, które pozwoliły Panu i innym rozwiązać wiele otwartych problemów matematycznych. Niedawno stwierdził Pan: „Bawię się matematyką". Potem Pan dodał, że to co Pan robi, tak naprawdę trudne jest do przełożenia na praktykę. Ale przecież wiemy ze źródeł naukowych, że Pańskie dokonania przekładają się jednak na konkretne zastosowania, m.in. w szeroko pojętych dziedzinach informatycznych i kryptografii. No to jak to jest naprawdę?

HI: Muszę dodać, że tak naprawdę Shaw Prize 2015 otrzymałem nie tylko za osiągnięcia w teorii liczb. W prasie wyszczególnia się jeden konkretny wynik o liczbach pierwszych, za który przyznano mi tę nagrodę, lecz tak naprawdę jest to nagroda za szersze osiągnięcia w matematyce, bo przecież nie jestem już taki młody. Bardzo sprytnie to sformułowano. Ja uważam jednak, że to jest mój „lifetime achievement", czyli nagroda „za całokształt".

Moje wyniki nie przekładają się w istocie bezpośrednio na przykład na kryptografię, natomiast prace w dziedzinie liczb pierwszych rzeczywiście się przekładają i to w znacznym stopniu. Najbardziej skuteczne algorytmy do kryptografii są oparte na pewnych twierdzeniach dotyczących liczb pierwszych, tylko że ja osobiście nie mam na to wpływu. Bo ja nie mam wpływu na to, jakich matematyków zatrudnia na przykład AT&T czy nowojorska

giełda i co oni robią – nie ulega jednak wątpliwości, że oni wykorzystują to, co ja osiągnąłem i udowodniłem. Ale to jest ich praca, to są ich osiągnięcia.

JSz: Kiedy Pan się dowiedział, że przyznana Panu została ta nagroda?

HI: 1 czerwca 2015 roku. Otrzymałem e-maila z Hongkongu. Często pracuję w nocy, nawet do rana. I tak samo było wówczas. W pewnym momencie kliknąłem i widzę, że jest e-mail. Przez kilka sekund zastanawiałem się, co to jest. Otworzyłem go i przeczytałem… Poczułem się radośnie zaskoczony. Całą noc już nie mogłem zmrużyć oka. Zrobiłem sobie jeszcze jedną kawę. Doczekałem do oficjalnej ceremonii, która była na żywo transmitowana. Kilka godzin później, na konferencji prasowej w Hongkongu, oficjalnie oznajmiono o przyznaniu tych nagród. Nagroda wynosi milion dolarów w każdej dziedzinie. W 2016 roku wynosiła już 1,2 miliona. W dziedzinie matematyki tym razem przyznano nagrodę dwóm osobom, tak że faktycznie dostałem pół miliona.

Kasia była wtedy w szpitalu, po tragicznym wypadku samochodowym. Zaraz do niej pojechałem – jeździłem zresztą codziennie do szpitala. Była w bardzo ciężkim stanie, stąd też miałem mieszane uczucia, czy powinienem jej mówić o nagrodzie. Z powodu jej wypadku przerwałem zresztą kontrakt w

Zurychu w Szwajcarii i przyjechałem do Princeton, aby być przy żonie.

JSz: Nagrodę otrzymał Pan w doborowym towarzystwie pięciorga znakomitych naukowców z kilku krajów. Proszę opowiedzieć, jak wyglądała cała ceremonia: gdzie się odbywała, ilu było tych, którzy was podziwiali?

HI: To jest nagroda przyznawana co roku przez The Show Price Foundation in Hong Kong. Fundację tę założył w roku 2002 Run Run Shaw – magnat filmowy i telewizyjny w Hongkongu. Zmarł dwa lata temu w wieku 107 lat. Nagroda ta określana jest często jako „Nobel Wschodu". Przyznawana jest w trzech dziedzinach: w astronomii, nauce o życiu i medycynie (Life Science and Medicine) oraz w matematyce (Mathematical Sciences). Po raz pierwszy nagrody te zostały wręczone w roku 2004. W roku 2015 nagrodę w dziedzinie astronomii otrzymał amerykański naukowiec, mający polskie korzenie, William J. Borucki – jest on odpowiedzialny w Ames Research Center w NASA za Kepler Mission, czyli za badanie planet. W medycynie nagrodę otrzymały dwie osoby – za bakterie, które się komunikują: Bonnie L. Bassler – profesor w Department of Molecular Biology Princeton University i E. Peter Greenberg – profesor mikrobiologii The University of Washington w Seattle. W matematyce też było dwóch nagrodzonych: Gerd Faltings z Max Planck Institute for Mathematics w Bonn w Niemczech i ja.

Nasz pobyt w Hongkongu trwał cztery dni. Wręczenie nagród, czyli The Shaw Prize Award Presentation Ceremony 2015 (www.shawprize.org), odbyło się wieczorem, 24 września w Hong Kong Convention and Exhibition Centre. Dyplomy i medale wręczał mistrz ceremonii CY Leung – przewodniczący Chief Executive of the Hong Kong Special Administrative Region, czyli gubernator Hongkongu.

Po ceremonii wręczenia nagród, przy pięknych, fantastycznie udekorowanych okrągłych stołach, zasiedliśmy do kolacji. Wszyscy laureaci siedzieli przy jednym stole. Obok nas zasiadł gubernator Hongkongu. Miałem okazję kilka minut z nim porozmawiać. Opowiedział mi co nieco o historii tego fantastycznego miasta.

Na życzenie organizatorów musieliśmy przygotować dla nich wiele informacji. Jako laureat musiałem napisać autobiografię, potem drugą, pełniejszą, ze szczegółami; musiałem także przygotować „acceptance speech". Taką mowę dziękczynną za nagrodę wygłaszał każdy nagrodzony, zaraz po otrzymaniu medalu i dyplomu, i nie mogła ona trwać dłużej niż 3 minuty. Wszystkie te informacje trzeba było posłać organizatorom dużo wcześniej.

Dzień przed ceremonią odbyła się konferencja prasowa z udziałem wszystkich laureatów. Następnego dnia, po ceremonii

wręczenia nagród, wygłosiłem wykład na Uniwersytecie w Hongkongu – każdy z laureatów miał taki obowiązek. Dzień później wygłosiłem wykład w Museum of Art and Sciences w Hongkongu, połączony z dyskusją. Było to tak zwane public forum. Musiałem opowiedzieć o sobie, a potem odpowiadałem na pytania z sali. To też należało do obowiązków laureata.

To wszystko było fantastycznie przygotowane. Byliśmy traktowani jak… prawdziwi laureaci! Podczas samej ceremonii wiedzieliśmy dokładnie, kto i kiedy ma wyjść, jak przejść po czerwonym dywanie, w którym miejscu stanąć, bo wcześniej mieliśmy próbę… Towarzyszyła nam piękna muzyka, a sala była pięknie udekorowana. Podczas oficjalnej ceremonii członkowie komisji przyznającej nagrody przedstawili laureatów. Wszystko odbywało się w świetle lamp, przed zaproszonymi gośćmi. Trudno było się nie wzruszyć.

JSz: Czy towarzyszył Panu ktoś z rodziny? Czy mieliście czas na to, aby obejrzeć Hongkong i zobaczyć coś więcej, przynajmniej kawałeczek Chin?

HI: Żona Kasia nie mogła ze mną pojechać ze względu na jej stan zdrowia, więc towarzyszyła mi młodsza córka Ania. Trochę mało czasu było na zwiedzanie samego Hongkongu, ale co nieco zobaczyliśmy. Mieszkaliśmy w luksusowym hotelu. Każdy z laureatów miał do dyspozycji samochód z kierowcą, tak że nie

martwiliśmy się o to, jak i kiedy dojechać na miejsce spotkania. Było to niesamowite przeżycie, coś takiego zdarza się raz w życiu…

JSz: Czy były reakcje polskich placówek naukowych i polskich naukowców na Pańską nagrodę?

HI: Nieliczne na początku. Muszę powiedzieć nieskromnie, że trochę mnie to zdziwiło. Otrzymałem życzenia z Instytutu Matematycznego w Warszawie. Złożył mi też życzenia mój promotor pracy doktorskiej, profesor Andrzej Schinzel. To wszystko.

Natomiast bardzo przeżywał to całe wydarzenie mój brat Tadeusz i oczywiście serdecznie mi gratulował. Jest bardzo dumny ze mnie. Tadeusz jest obecnie profesorem matematyki na Syracuse University w stanie Nowy Jork. Otrzymał wiele nagród i ma wysokie notowania. Zajmuje się zupełnie czymś innym niż ja, między innymi równaniami różniczkowymi cząstkowymi, a także geometryczną teorią funkcji. Kiedyś spotykaliśmy się bardzo często, teraz, niestety, bardzo rzadko, bo daleko od siebie mieszkamy. Ode mnie trzeba jechać samochodem do Syracuse około 6 godzin. Za to czasami do siebie dzwonimy.

JSz: Co ciekawe, pierwszy z gratulacjami dla Pana pospieszył prezydent Elbląga, wyprzedził wszystkich innych. Dlaczego

akurat on, czyżby miał w tym jakiś interes i jakieś służby, które informują go o Pana poczynaniach?

HI: To na pewno wyszło z jego serca. Kiedy opuściłem Elbląg, bo podjąłem studia w Warszawie, a potem wyjechałem do USA, rzadko bywałem w tym mieście. Dopiero od mniej więcej 10 lat te kontakty znowu się ożywiły. W roku 2006 Rada Miasta przyznała mi honorowe obywatelstwo miasta Elbląga. Nie dziwię się więc, że prezydent miasta zachwycił się tą nagrodą dla mnie. Pierwsze artykuły o mojej nagrodzie ukazały się w prasie elbląskiej. Mogę więc powiedzieć, że Elbląg się wykazał. Warszawa później.

JSz: Problemów matematycznych rozwiązał Pan – i wciąż Pan rozwiązuje – co niemiara. I co chwila dostaje Pan jakąś nagrodę. Proszę wymienić przynajmniej kilka tych, które są dla Pana najważniejsze i najcenniejsze?

HI: The Shaw Prize Award jest dla mnie niewątpliwie nagrodą najważniejszą, bo jest bardzo prestiżowa i niewiele osób ją otrzymuje. Mamy tysiące bardzo dobrych matematyków na świecie, a tylko dwóch otrzymało tę nagrodę w 2015 roku, więc mam się z czego cieszyć.

Wśród cennych nagród, jakie otrzymałem, niewątpliwie są: Medal Sierpińskiego przyznany mi w 1996 roku przez Polskie

Towarzystwo Matematyczne, The Jurzykowski Prize – nagroda przyznana mi w 1991 roku przez Alfred Jurzykowski Foundation w Nowym Jorku oraz Medal Stefana Banacha, który otrzymałem w maju 2015 roku od Polskiej Akademii Nauk, a więc przed nagrodą Shawa.

Bardzo sobie cenię nagrodę „Leroy P. Steele Prize", którą otrzymałem w 2011 roku od American Mathematical Society za książki – monografie dla studiujących na poziomie badań naukowych, co jest wyrazem uznania nie tylko za moją pracę naukową, ale również za pracę edukacyjną. A pedagogów, którzy są bardzo dobrzy i zasługują na wyróżnienia, jest bardzo dużo. Jestem dumny z tej nagrody, bo mogę się nią pochwalić wśród studentów, że potrafię też zrozumiale redagować materiał naukowy.

W USA jestem członkiem American Academy of Arts and Sciences. A kiedy zostałem członkiem National Academy of Sciences władze Rutgers University tak były z tego faktu dumne – bo to jest prestiż i ogromne wyróżnienie – że billboard z moim nazwiskiem i zdjęciem pojawił się na stacji kolejowej w New Brunswick. Pojawiły się też artykuły o mnie w gazetach amerykańskich. No i jestem członkiem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Wielkim wyróżnieniem jest dla mnie zawsze zaproszenie na Międzynarodowy Kongres Matematyków, który odbywa się co cztery lata. Byłem zaproszony trzy razy: do

Helsinek, Madrytu i Berkeley w Kalifornii w USA.

JSz: Rozwiązanie jednego problemu matematycznego powoduje… powstanie następnego. Oznacza to, że nigdy nie osiągniemy końca, nie znajdziemy ostatecznej odpowiedzi, czyli jest Pan skazany na pracę, matematyczne myślenie, do końca życia. Taka perspektywa jest dla Pana przyjemna, pobudzająca, czy wręcz przeciwnie – przerażająca?

HI: To prawda. Ale ja się tym nie przejmuję, że jest tyle pracy, bo nawet gdy przejdę na emeryturę, to nie rozstanę się z matematyką.

JSz: Kiedy wybiera się Pan na emeryturę? Czy w ogóle jest możliwe dla matematyka słodkie lenistwo i w konsekwencji skończenie z myśleniem?

HI: Przejście na emeryturę jest sprawą techniczną, a przywiązanie do matematyki zostaje, trudno się z nią rozstać. Czasami jedynie marzy mi się przejście na emeryturę z powodu wygody. Odpadają bowiem liczne obowiązki na uniwersytecie, między innymi opieka i troska o warunki pracy dla studentów i prace w komisjach, a wówczas więcej czasu można poświęcić na poszukiwania i badania. Na szczęście na moim uniwersytecie nie ma obowiązku przechodzenia na emeryturę, co mnie bardzo cieszy. Jeśli nie byłbym zdolny fizycznie czy nawet umysłowo do

dalszej pracy, to wówczas nie miałbym wyboru – musiałbym zostać emerytem. Mam nadzieję, że do takiej sytuacji jednak nie dojdzie.

Princeton Junction, NJ, 31 października 2015 – 9 stycznia 2016 r.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



Małe marzenia

polskich artystycznych emigrantów



Felieton z Perth (Australia)

Adam Fiala

Artyści, poeci, muzycy polskiego pochodzenia na emigracji są w sytuacji Sienkiewiczowskiego Latarnika. No, z pewnymi różnicami. Latarnik miał latarnię i „Pana Tadeusza”, emigranci mają Internet, który ponoć zbliża, ale tylko wirtualnie. Ciągle więc siedzą w wieży, tylko bez latarni. Oczywiście już teraz się nie używa modnego za Sienkiewicza słowa „obczyzna”, bo żyjemy w zglobalizowanym, a przede wszystkim etnicznym świecie. No właśnie. Etnicznym. Etnizm podobnie jak każda dziedzina ulega modzie, są lepsi etnicy i gorsi, mniej lub bardziej cenieni.

Owszem Polacy mieli swoją kartę i uznanie za czasów Wałęsy i bliskiej Solidarności. Ale i z Wałęsą obecnie coś nie tak. Nie tylko posiwiał, ale też posiwiały jego szczytne idee zwłaszcza osobiste. Wałęsa był atutem, a stał się poniekąd problemem. Niektórzy twierdzą, że brak mu odwagi, którą się tak dawniej szczycił. Ale nie tylko Wałęsa. Polski rząd też nie jest popularny. Rzutuje to oczywiście na ogólną sytuację Polaków, a zwłaszcza pisarzy i artystów za granicą. Na pewno nie należymy teraz do ulubionej grupy etnicznej w Australii.

Ulubionymi są oczywiscie tak zwani Pierwsi Ludzie tego kontynentu czyli Aborygeni stanowiący trzy procent społeczeństwa australijskiego. Dalej widzę mieszkańców Afryki, pozytywnych Syryjczyków, którym ich Wiosna Ludów się kompletnie nie udała, zaś Polacy są obecnie jakby na samym

końcu tabelki. Stąd prośba. Polska mogłaby zwrócić trochę uwagi na ludzi twórczych, którzy paradoksalnie mieli swoją pozycję za czasów komuny. Wtedy ciągle słyszałem, że Polska liczy się kulturalnie w Europie, jeżeli nie na świecie. I nie tylko Warszawska Jesień o tym decydowała z dumą i chlubą narodu Krzysztofem Pendereckim (nawiasem mówiąc jestem słuchaczem stałym radiostacji muzyki klasycznej w Australii i słyszałem Pendereckiego tylko raz, ale owszem Chopen się bardzo sprawdza).

O czym marzą artystyczni Polacy w Australii. O pieniądzach? Nie, ponieważ życie materialne w tym kraju jest zupełnie znośne. Marzą o wizycie polskiego obrotnego dziennikarza, najlepiej obrotnej dziennikarki, która opublikowałaby o nich materiał w jednym z kolorowych pism. W kraju jest ich ponoć zatrzęsienie, a publikowane teksty nie dotyczą realnych problemów, tylko wydumanych.

Cztery portrety

Wilek Markiewicz

Przeglądając ostatnio moje stare prace przywiezione z Europy, powróciły mi wspomnienia związane z niektórymi portretami. Może będzie kiedyś okazja by je pokazać na retrospektywnej wystawie, w każdym razie historia ich wydaje mi się dość ciekawą, aby jej nie zatrzymywać tylko dla siebie.

Wilek Markiewicz, torontoński artysta, zmarł w listopadzie 2014 r. w Toronto.

Janek (rysunek)



Wilek Markiewicz, Janek

Niestety, nie mogę podać jego nazwiska, choć – jak czytelnicy zmiarkują – ma ono swe znaczenie w historii. Janek urodził się bądź w Westfalii, jak jego rodzice, bądź we Francji. Miał w sobie trochę krwi niemieckiej, nie wiem, czy po mieczu, czy po kądzieli. Po polsku mówił poprawnie, po francusku, jak Francuz. Podczas wojny miał ok. 9 lat. Ojciec oddał go do Hitlerjugend. Poznałem ojca, przemiły pan, co widocznie jedno z drugim nie

ma nic wspólnego. Janek opowiadał mi jak smarkacze w jego wieku zarąbali się na śmierć szablami w pojedynku. Miał twardą szkołę w Hitlerjugend. Nie afiszował się tym zbytnio i prosił mnie o dyskrecję, którą utrzymuję... Był gorącym polskim patriotą i raz, podczas dyskusji z kolegami na temat europejskiego federalizmu, perorował: „Sobieski był federalistą?! Bolesław Chrobry był federalistą?! Federalizmy to żydowskie wymysły!”

Pomimo oznak twardości i zdziczenia Janek był sentymentalny. Ja byłem jednym z niewielu, który zdawał sobie z tego sprawę i może dlatego byliśmy przyjaciółmi. Janek kochał dziewczęta z wzajemnością. Opowiadał mi, jak najbardziej sofistykowane kobiety stawały się ladacznicami u niego w łóżku i wierzyłem mu, bo Janek nie miał imaginacji. Związał się z bardzo ładną Francuzką, ona mu pomagała finansowo, gdy coś tam studiował, później pobrali się. Przyszła wojna w Algierii i Janek został zmobilizowany. Opowiadał mi jak rżnęli Arabów i mogę sobie wyobrazić Janka w akcji.

Gdy go spotkałem już po wojnie, całe jego życie zaczęło spadać ostrą krzywą w dół i chyba się już nigdy nie podniosło. Podczas jego pobytu na froncie żona go opuściła. Nie mogę jej potępiać nie znając faktów. Janek mógł być niemożliwym do współżycia. Wróciwszy do domu w poszarganym uniformie znalazł mieszkanie zamknięte na kłódkę i musiał iść spać do hotelu. Zdaje się, że był ranny i schorowany. Z armii pozostały mu

czarne wspomnienia. Ktoś zrobił z niego Żyda, że jego nazwisko brzmi jak Mojżesz! Żałuję, że nie mogę zacytować jego nazwiska, aby się czytelnicy przekonali, jaki to absurd. W każdym razie Janek z Hitlerjugent i z mordą SS-mana zbierał cięgi za żydostwo. Nie pytałem się, kto mu ten kawał wyrządził: Polak, Francuz czy Niemiec – armia francuska jest wielokulturową, jak Toronto. Nie zajmowałem się wtedy tymi sprawami. Ubawiło mnie tylko to, że z nim służył autentyczny Żyd, sąsiad jego rodziców. Obie matki przyjaźniły się i obie płakały nad losem swoich synów.

Straciłem z nim kontakt i gdy go ujrzałem po roku zmiarkowałem, że się chyba nie pozbierał ze swych przeżyć. Chodził po ulicy nocą w towarzystwie obwiesiów, sam jakby pod wpływem narkotyków czy alkoholu. Był w wisielczym humorze. Czułem, że nie mamy ze sobą nic więcej wspólnego, że ani on mnie nie potrzebuje, ani ja dla niego nic nie mogę zrobić – i pozostałem niezauważony.

Esteban czyli Stefan (olej)



Wilek Markiewicz, Esteban

Esteban jest Hiszpanem, z matki Katalonki, ojca Andaluzyjczyka. On sam wychowany w katalońskim miasteczku, przybył z Barcelony do Paryża ze snami glorii dziennikarskiej, jako wysłannik tamtejszego pisma ilustrowanego. Posiadał wielką wrażliwość pisarską, lecz do osiągnięcia sukcesu brakowało mu trzech podstawowych rzeczy: 1) inteligencji, 2) wykształcenia, 3) pieniędzy. W Barcelonie, w swym piśmie posiadał rubrykę a la „Dear Abby”, z której wywiązywał się na pewno nieźle, ponieważ

umiał wniknąć w sytuację z życia i miał religijną moralność do przyjęcia przez ogół. Lecz zachciało mu się szerokich wód i oto znalazł się w Paryżu. Jego rolą miały być wywiady z rozmaitymi „gwiazdami" piosenkarstwa i telewizji. Lecz nie znał jeszcze zbyt dobrze francuskiego. Dał mi do przeczytania swe krótkie historie, z których jedna zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Mowa tam o młodym malarzu, który pod wpływem konfliktu opuścił swój dom rodzinny i miasteczko, i wylądował z mizerną sumą pieniędzy w Barcelonie. Na rogu ulicy zobaczył młodą pociągająca prostytutkę i z młodzieńczą beztroską postanowił wydać na nią ostatni grosz. W hoteliku weszli w przyjacielską rozmowę i opowiedział jej swą historię. Ona mu rzekła: „Moja historia jest nieco podobna do twojej, tylko dla mnie jest już za późno. Wracaj do domu, do ojca i matki, nim moloch miasta nie pochłonie i ciebie".

Było to tak ciepło opowiedziane i takim prostym językiem, że wczułem się w sytuację, jakbym był przy tym. Powiedziałem Estebanowi: „Jestem zachwycony, ty jesteś hiszpańskim Balzakiem od prostych spraw. Oto czego nie powinienem mu był powiedzieć. Uraziłem go, że nie potrafi pisać o niezwykłych sprawach i zaczął wypisywać jakieś szmiry o miłości i mordach a la „soap opera" i nie rozumiał dlaczego mi się to nie podoba. Prawdopodobnie posądzał mnie o zazdrość.

Historia Estebana jest niestety również historią upadku, choć

walczył z podziwu godną wytrzymałością. Właściwie młodość pozwoliła mu przetrwać. Srogą zimą paryską, która jest zimniejsza od torontońskiej, tyle że bez śniegu, wychodził późnym wieczorem ode mnie – nie wiedziałem dlaczego, z tak krzywą miną. Otóż spędzał noce pod gołym niebem, w jakimś cieplejszym kanale wydechowym między włóczęgami i degeneratami. Tajemnicę umiał zatrzymać dla siebie. Moja żona mawiała: „Dlaczego Esteban tak śmierdzi – nie zmienia odzieży, czy co?". Raz go spotkała na ulicy w tym stanie i powiedziała mu: „Esteban, albo się pozbierasz, albo wracasz do Hiszpanii". Był u nas parę dni, po czym znalazł pracę i pomieszczenie. Został sprzątaczem w jakiejś publicznej pływalni. Pomimo, że otrzymywał z początku ciepłe listy z redakcji, utracił w końcu kontakt ze swoim pismem. Przechodził przez życie wciąż ze swym chaplinowskim uśmieszkiem, lecz nie był to już ten sam Esteban. Stał się brzydkim cynikiem, przypuszczalnie bez dawnej religijności i moralności, co dla człowieka prostego może być bardzo niebezpieczne. Twierdził, że jest zadowolony i przypuszczalnie był nim. Mawiał: „Gdyby mi zaofiarowano redaktorską pozycję w Buenos Aires, powiedziałbym, by ją sobie zatrzymali dla siebie". Twierdził, że nie chce utracić kontaktu z Europą, lecz czym była dla niego ta Europa? Późną nocą, po pracy zupa cebulowa w paryskich Halach, później – gdy akurat nie miał kochanki – prostytutka. Bez wstrętu i z odrobiną ciekawości, opowiadał mi o rozmaitych propozycjach, które otrzymywał przy pracy w pływalni. „Esteban, na miłość boską,

trzymaj się z daleka” – mówiłem mu. Z zagadkowym uśmieszkiem przyjmował, co by mu nie powiedziano. Ponoć wyjechał do Hiszpanii z uciułaną gotówką i ożenił się. Nie wiem, co się z nim stało, jako że nasza przyjaźń się zerwała, z przyczyn nie należących do tematu.

Carol (pastel olejny)



Wilek Markiewicz, Carol

Poznałem ją w Paryżu, gdzie pracowała jako służąca. Pochodziła z chłopskiej rodziny z okolicy Burgos (płn. Hiszpania). Została wówczas sierotą i ojciec z macochą traktowali ją całkiem nie po ludzku. W wieku lat 5-ciu oddali ja do klasztoru. Tam też nie traktowano ją poprzez jedwabne rękawiczki, po prostu Hiszpania była twardym krajem, gdzie najsilniejsi przeżywali. Już w wieku 5-ciu lat Carol szorowała klasztorne podłogi i prała odzież od samego świtu, do późnej nocy. Stała na krześle z nałożonymi belkami, żeby móc dosięgnąć balii. Matka przełożona zorientowała się co do bystrości Carol i mawiała: „Ty się ucz, a przerośniesz i swą kondycję i innych". Dzięki pomocy przełożonej i własnych, wcześnie rozbudzonych ambicji, Carol nauczyła się wiele, w warunkach, gdy inne pozostały analfabetkami. W czasie wojny domowej, Burgos było miejscem koszarowym dla Niemców i Włochów, którym się podobała ta mała blondyneczka i obdarowywali ją czekoladkami. Jedni z niewielu, którzy okazali jej trochę życzliwości – prócz przełożonej. Pozostawiła po nich wdzięczne wspomnienie – plus faszyzm. To ostatnie jej później przeszło, ale o tym zaraz. Nie wyrosła i prawdopodobnie skutkiem zaburzeń hormonalnych, wywołanych trudem i niedożywieniem, twarz jej została wydłużoną. Słowem była bardzo brzydka, mimo żywych jasnych oczu i blond włosów. Pracę mogła otrzymać tylko jako służąca i chłopcy parskali na nią. Jako dobra Hiszpanka i w instynkcie samoobrony zrobiła się kąśliwa jak osa i agresywna jak pantera. Ponieważ klasztor był jej jedynym domem, a przełożona jedyną matką, nie opuszczała

niedzielnej mszy, lecz nie była bigotką. Jej podejście do życia było po hiszpańsku pragmatyczne. Na pewno miała kochanków, choć nie interesowałem się jej prywatnym życiem. Jednego poznałem, był to Chorwat, który przypuszczalnie by się z nią ożenił, lecz jej brzydota przezwyciężyła jej wszystkie niepospolite zalety. Rozstali się jak pies i kot. Carol była maleńka, ale nie obawiała się ni diabła. Cokolwiek zaszło, on utracił parę piór.

Opuściła Paryż z pieniędzmi, które jej pozostały i osiedliła się w Madrycie. I teraz zaczyna się dla nas najciekawszy rozdział jej życia. W wieku ponad 50-ciu lat Carol ukończyła doktorat z literatury francuskiej na uniwersytecie w Madrycie. Wiedziałem, że uczęszczała od czasu do czasu na Sorbonę, lecz nie sądziłem, że jest w tym coś poważnego. W tym też okresie utraciła swój faszyzm.

Z Carol nie mam kontaktu z własnej winy. Carol była przyjaciółką mojej żony i mnie oddaną jak siostra, choć ja z niecierpliwością znosiłem ten „babiniec". Lecz na pewno pamięta mnie, jak ja ją. Carol żyje z kimś obecnie, prawdopodobnie odseparowanym (nie wiem, czy już istnieją rozwody w Hiszpanii). On ją nosi na rękach. Człowiek prosty umie, jak wszyscy Hiszpanie ocenić czyjąś wyższość.

Włodek (rysunek)



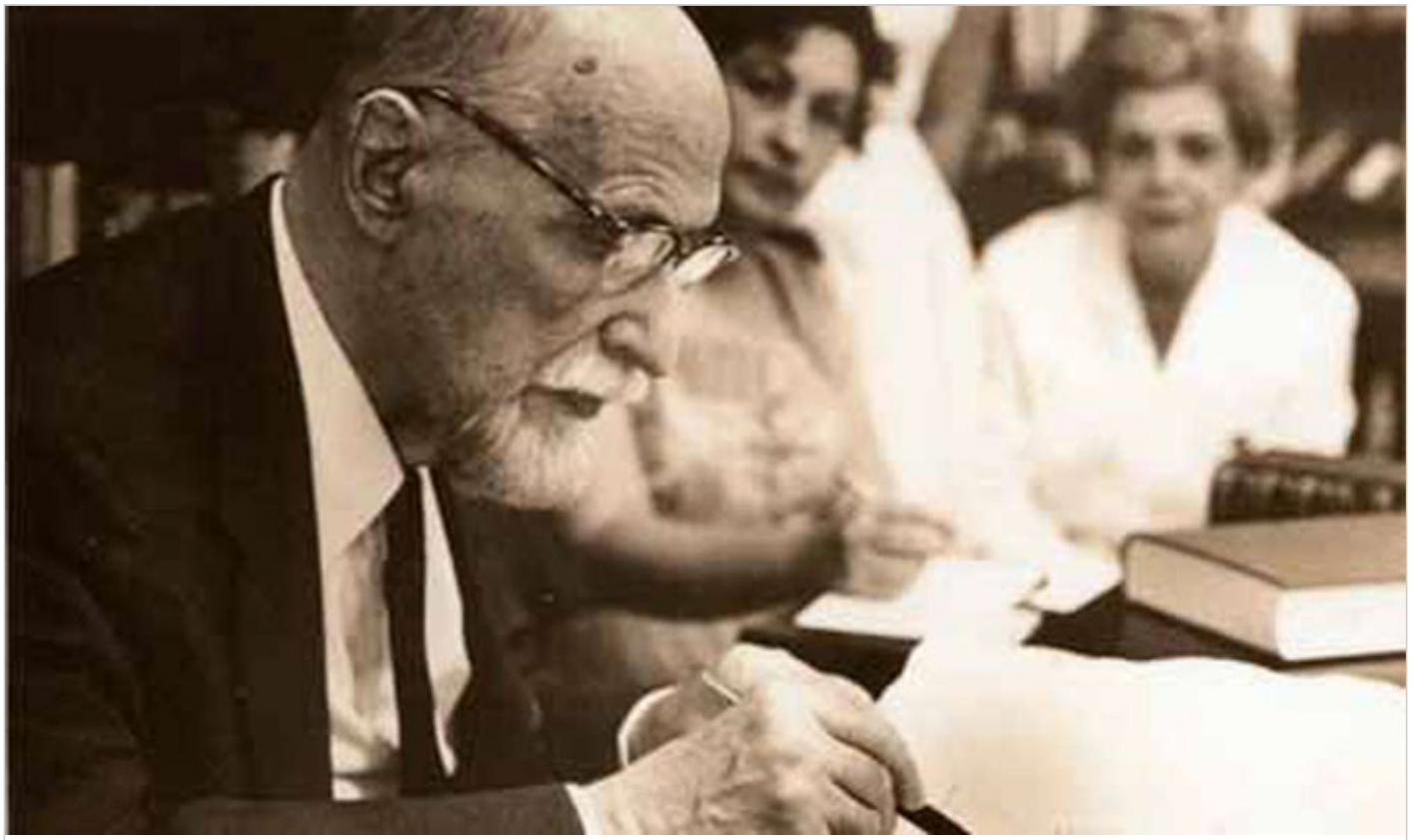
Wilek Markiewicz, Włodek

Włodek urodził się przed wojną w polskim więzieniu. Matka – Żydówka, była aktywną komunistką i nazwała syna od Lenina. Ojciec, prawdopodobnie również Żyd, zginął podczas jakiejś akcji bojowej przed, czy podczas wojny. Rosjanie, gdy weszli do Polski

wywieźli ją z dzieckiem do Azji Centralnej i tam przestała być komunistką. Z zawodu była pielęgniarką i gdy protestowała, że Uzbeków i Kozaków się szczepi tą samą igłą, otrzymała odpowiedź: „Eto zwieria (to są zwierzęta), nic im się nie stanie". Napisała protest do Moskwy i zawezwano ją: „twym protestem wymyliśmy okna, zamknij gębę, albo pójdziesz skąd się nie wraca".

Zamieszkali w Paryżu, matka zagorzała antykomunistka, zaś syn – trockista. Przychodził pokrwawiony z ulicznych bijatyk. Posiadał wybitny talent malarski, lecz między ideologią i matką, która chciała natychmiast skapitalizować jego prace, nic z tego nie wyszło. Nawet grupa francuskich arystokratów zainteresowała się jego talentem i finansowała go przez jakiś czas. Lecz nie mieli pojęcia o sztuce i wszystko rozbiło się – o politykę. Włodek wegetował, wysoki i chudy wyglądał na Don Kichota. Bez kondycji fizycznej, ani silnego charakteru, nie wiem, co się z nim stało. Bez konkretnego powodu, nie mam dobrego przeczucia.

Śladami Srebronia: Juan Ramón Jimenez (1881-1958).



Juan Ramón Jimenez (1881-1958)

Florian Śmieja

Nazwisko Juana Ramóna Jimeneza usłyszałem po raz pierwszy na lekcjach literatury hiszpańskiej w irlandzkim mieście Cork, gdzie rozpoczynałem studia humanistyczne po demoblilizacji najpierw z I Korpusu, a później z Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w 1947 roku. Uniwersytet oferował, egzotyczny wtedy dla mnie język hiszpański. Język piękny i łudząco prosty tak jak jego literatura, jak poetyckie opowiastki o srebrnej maści osiołku, towarzyszu chorowitego poety. A skoro był srebrzysty, to po hiszpańsku Platero. Srebroń, jak go po polsku przezwał pamiętający Leśmiana Józef Łobodowski. Trudno było o bardziej stosowny polski odpowiednik. Srebroń.

Jego twórca urodził się w bielutkim, słonecznym andaluzyjskim miasteczku Moguer wśród pól, winnic i lasów. Opodal leży miejscowość Palos, gdzie na polecenie królowej Izabelli zbudowano karawele, które pod wodzą Kolumba wypłynęły w poszukiwanie drogi do Indii. Pochodzący z Moguer jego zastępca i odkrywca ujścia Amazonki, Vicente Pinzón, w lokalnym, stojącym do dziś klasztorze, dziękował potem za pomyślny wynik wyprawy.



Srebrny osiołek na drodze w Andaluzji.

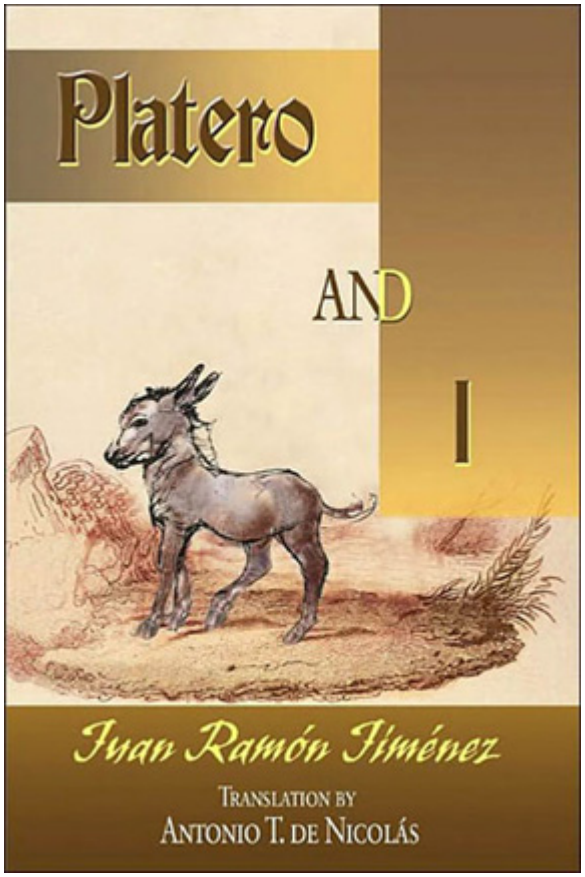
Do tej starożytnej miejscowości zwanej przez Arabów Almoguer pojechalem z Sewilli autobusem, wysiadłem w pobliskim San Juan, a na końcowy odcinek wprosiłem się na dwukołowy ciągniony przez muła wóz. Rytmiczne podskakiwanie pojazdu dawało dużo czasu, by dotrzeć do pojawiającego się na widnokręgu białego miasteczka godnie i w należnym skupieniu.

Były dom poety stał się jego muzeum. Wmurowana tablica głosi jego historię: „W tym domu – dziś muzeum – Juan Ramón

Jiménez przemarzył wszystkie sny dzieciństwa i młodości. Tu jego pamięć znalazła przychylne schronienie”.

Ten dawny dom poety to nie tylko muzeum, ale również biblioteka publiczna. Kto będzie jednak czytał w skwarne lata, a w takich porach spędziłem w Moguer moje trzy wizyty. Byłem więc zazwyczaj jedynym gościem i zaprzyjaźniłem się z dyrektorem, kuzynem pisarza. To dzięki jego uprzejmości pojechałem do lasu, by zobaczyć jeszcze szczątki wielkiej sosny uwiecznionej w poetyckiej prozie „Srebroń i ja”. Słynna sosna, „el pino de la corona”, sosna olbrzym, jak ją po polsku nazwałem, była widoczna z daleka, rzucała się w oczy swoim ogromem, była dostrzegalna z morza, królowała nad innymi drzewami. Ten symbol trwania, niestety, trafiony przez piorun leżał zwalony na ziemi, osmalony i połamany. Oglądałem jego mizerię jak drogą relikwię.

Pojechaliśmy również do letniej posiadłości Fuentepiñas jaśniejącej na horyzoncie. Obok bielonego budynku stała kopulasta sosna. To pod nią pogrzebano osiołka, którego poeta rozsławił w całym świecie. Nazwę słynnego miejsca nosił jeden z hoteli, w którym się zatrzymałem. Posiadam jeszcze rachunek, z którego wynika, że mój pokój kosztował mnie w połowie maja 1975 roku dwieście peset, a obiad 288.



Korzystając z okazji chciałem jak najwięcej trudności tekstu, który tłumaczyłem na język polski, rozwiązać na miejscu sądząc, że lokalni ludzie są najbardziej kompetentni, by je wyjaśnić. Nie zawsze odnosiłem sukces. Powiodło mi się z piekarzem. Jiménez napisał, że Moguer jest jak chleb. W piekarni trafiłem na osobę starszą, dumną ze swego rzemiosła i pochlebiało jej, że właśnie o zwyczaje wypieku i recepturę pytałem, a on wiedział i chętnie objaśniał. Bo współcześni już nie pamiętali tych wszystkich fachowych słów, które ja, cudzoziemiec, znałem. Kazał mi przyjść następnego dnia i zadał sobie trud, by ze specjalnie dla mnie zrobionego ciasta ulepić bochenki, już nie w modzie.

Mniej szczęścia miałem z nazwami ptaszków, które tropiłem poprzez ornitologiczne łacińskie terminy. Kiedy nie robiłem żadnych postępów, uśmiechnęło się do mnie szczęście, a przynajmniej tak sobie to tłumaczyłem. Otóż pod drzewami przy cmentarzu znalazłem martwego ptaszka, o którego mi chodziło. Zawinąwszy go w chusteczkę chodziłem po okolicznych domach i pytałem o nazwę. Zapytani jednogłośnie odpowiadali, że to ptak. Ale jaki ptak, pytałem niespeszony. „Pájaro pequeño”, mały ptaszek, odpowiadali niewinie. Musiałem zrezygnować i uznać, że nieznajomość przyrody stała się nagminna, że trzeba było poszukać miłośnika i specjalistę, a dać spokój ludziom lokalnym.

Raz znalazlem się w Moguer w wigilię wyjazdu przystrojonych wozów w pielgrzymkę do niedalekiej miejscowości El Rocío, tak pięknie przez Jiméneza opisanych. Nie zaprzęgano już wołów, ich rolę przejęły muły, a strojne amazonki paradowały ożywionymi uliczkami na ślicznych koniach wśród palby broni i wystrzałów rac.



Juan Ramón Jimenez (1881-1958)

Odwiedziłem również słynną pustelnię, a z całą rodziną udałem się na grób poety i jego żony. Najmłodszy syn, Julek, złożył na

płycie wspólnego grobu polne kwiaty. Zmarły w Puerto Rico najsłynniejszy syn Moguer wyróżniony w 1956 roku literacką nagrodą Nobla, spoczął w końcu w swojej ziemi.

Kiedy pojechalem do miasteczka po raz trzeci, zobaczyłem zmiany, które wprowadziła nowa administracja z własnym jej pojęciem troski o kulturalne dziedzictwo. Zmieniono nazwy ulic. Dawna ulica „Nueva" przy której stoi dom Jiméneza przemianowano na ulicę Juana Ramona Jiméneza. Na to zgoda. Lecz po co z nastaniem nowych urzędników pozmieniano nazwy ulic utrwalonych na kartach „Srebronia i ja"? Ta zmiana spowodowała potrzebę umieszczenia dawnych nazw na drugim miejscu. Akcja ta ilustruje nieznośną potrzebę powierzchownych zmian przez nowych ludzi, których nie stać na czyny zasadnicze i gruntowne. Tak więc barwne kafelki z cytatami ze „Srebronia" wmurowane w różnych miejscach miasteczka są jakby na przekór temu najdoskonalszemu ze światow, przypominając rojenia poety, który widział raj tam, gdzie inni widzą codzienność, i cichego osiołka w miejscu, gdzie dziś pędzą rozjuszone samochody. Dawną idyllę zastąpił harmider i obojętność. Zeszpecono placyk Rady Miejskiej, kóry zachował piękno XVIII wieku w postaci historycznego budynku magistratu z zegarem o pięciołukowych galeriach na piętrze i parterze osłoniętych kratami z kutego żelaza. Trzy palmy, tuje i róże nie bardzo pasują do nowego pomnika Jiméneza wbudowanego w to historyczne, sielskie tło. Laureat Nobla siedzi sztywno za

czterema anemicznymi fontannami na tle dwu paneli płaskorzeźby. Po jednej stronie trzy alegoryczne postacie kobiet z osiołkiem, harfą i wawrzynem równoważą alegorię miłości z drugiej. Nad tą pomieszaną scenerią uganiały się jak dawniej chmary hałaśliwych jaskółek, jaśniała biel ścian, wieże wynosiły się nad dachy. Na jednej z nich bocianie gniazdo.

Historyczne tabliczki, że ”tu mieszkała Aguedilla”, „tu był placyk” wyglądały jak nagrobki, poetyckie „mane, tekel, fares” wskazujące marność tego świata i nieuniknione przemijanie rzeczy. Biedny poeta znalazł się najwyraźniej w bardzo wątpliwej gestii administratorów, urzędników od kultury, został uspołeczniony, zinstytucjonalizowany

Wracałem z trzeciej wyprawy do Moguer zawiedziony i rad, że autobus bardzo szybko wywiózł mnie w pola i sady. Z głośnika autobusu zabrzmiały rzewne skargi pątnika wracającego z pobliskiego El Rocío i zagłuszyły tłoczące się w moich myślach pytania. Głos śpiewaka zawodził: „Ślub mój wypełniłem”… A potem ciągnął dalej współbrzmiąc mojej rozterce: *„Ay, que me importa la muerte*… Co mi tam śmierć, skoro już nie mam nadziei. Całą noc opowiadałem o twojej zdradzie…”.

Ja również wracałem z pielgrzymki gnany starą miłością i jak każdy kochający, jechałem przygnębiony, niespełniony, nieuciszony, pełem smutku, którego nawet najsprawniejsze pióro

nie jest w stanie wysłowić…